

EGZEMPLARZ
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

TRZY DNI JAZZU

Jacek Grün str. 10

STARY ZNAJOMY

Leszek Płażewski str. 11

TRENER GAJEWSKI -OUT!

Pociej str. 12

ROK ZAŁOŻENIA 1933

W A M I E N I A

LUBLIN 30 VI 1974 Nr 13 (551)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

„RZECZ- POSPOLITA“

D
A
Ł
A



POCZĄTEK...

Ireneusz J. Kamiński

GAZETĘ robiło się, jak Polskę, z wiary, nadziei i miłości i z tego, co było pod ręką — wspominał okres „Polski lubelskiej”, Mirosław Zuławski. Można zatem powiedzieć, że gazetę robiło się wówczas po polsku: przy pomocy uczuć i energii, z zapatrzenia w przyszłość. Ale na bosaka! „Pod ręką” bowiem było niewiele, nawet bliskie ciału koszule miały krój wojskowy, cywilne i stare kosztowały na targu 600 złotych, kamasze także wspominały szlak bojowy I Armii, a bardziej skomplikowane produkty cywilizacji, jak np. maszyny drukarskie, pamiętały rok 1905, którego rewolucyjność nie miała w tym wypadku większego znaczenia. Pierwszy numer

Dokończenie na str. 6

Zadepczemy Tatry!

Mirosław Derecki



Kuźnice. Restauracja turystyczna
Z albumu „Tatry” K. Saryse — Tobicyka

POLOWA czerwca, ale na zakopiańskich ulicach i tatrzańskich szlakach — pustki. Wyjątkowa sytuacja, spowodowana wyjątkową pogodą. Od kilku dni nieprzerwanie lał deszcz, wczoraj, kiedy wiatr rozpędził nawisłe nisko chmury, ukazała się panorama tatrzańskich szczytów spowitych śniegiem, dzisiaj od rana hotel trzęsł się od porywów halnego wiatru. Nie dziwnego, że wczasowicze poddawiali zarezerwowane od kilku miesięcy pokoje, odwołano szereg wycieczek. Ale to tylko chwilowa, niezaplanowana cisza przed burzą. Gdy zaświeci słońce, na Tatry runą miliony ludzi. Letni turyści i wczasowicze będą kontynuować dzieło zniszczenia w miejscach, które przed dwoma miesiącami opuścili nie mniej od nich groźni — narciarze.

Przyroda tatrzańska zaczyna być zadepczana przez człowieka. To zresztą problem nie tylko znamienny dla Tatr. W „Literaturze” czytam obszerny wywiad z doc. dr. Leonem Łustaczem na temat ochrony środowiska w Polsce. W tym samym numerze — korespondencja na temat opublikowanego niedawno przez Krzysztofa Kąkolęskiego artykułu o dewastacjach dokonanych przez leśników w Puszczy Świętokrzyskiej. Pod ręką mam majowy nu-

Dokończenie na str. 8-9

MŁODZI literaci lubelscy podnoszą systematycznie poziom swoich utworów, na wyniki nie trzeba więc długo czekać. Wymieniając alfabetycznie, tylko w roku 1974 laureatami konkursów byli:

Stanisław Piotr Gaszyński — otrzymał wyróżnienie na Łódzkim festiwalu Poezji oraz na Łódzkiej Wiosnie Poetów;

Marian Janusz Kawalko wygrał konkurs zorganizowany przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy w Białymstoku;

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow otrzymał wyróżnienie na w. konkursie białostockim oraz na Łódzkiej Wiosnie Poetów;

Aleksander Rozenfeld otrzymał trzecią nagrodę w turnieju na wiersz poświęcony Warszawie.

Wymienione wyróżnienia są może mniej błyskotliwe od ubiegłorocznych, ale stanowią wykładnię

wyrównanego i coraz wyższego poziomu artystycznego (pominięte tu zostały turnieje i konkursy mniej znaczące). Środowisko lubelskie wypada w ten sposób korzystnie na tle innych.

Ożywienie, które znalazło odbicie w postaci trzech tomików poetyckich, wydanych w roku ubiegłym (R. Kornacki, H. Kozak, W. Michałski) znalazło uzupełnienie w najbliższym czasie w postaci dwóch almanachów. Prozatorski, w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórskiego, sygnalizowany jest przez wydawcę (Wydawnictwo Lubelskie)

na listopad b. r. W opracowaniu znajduje się almanach poetycki, który — zapewne — będzie na półkach księgarskich w roku przyszłym.

W produkcji znajduje się również tomik poetycki M. J. Kawalki pt. „Matnia” (tu apel do Wydawnictwa: Kawalko otrzymał w roku bieżącym Stypendium Twórcze im. T. Borowskiego, co stanowi znaczne wyróżnienie. Decyzja oparta została na dotychczasowych jego osiągnięciach, dobrze by było — a tomik jest jeszcze w produkcji — aby uzupełnić jednoarkuszowy

zbiorek pewną ilością tekstów, tak, by tom stanowił pełniejszą prezentację. Jednocześnie warto zwrócić uwagę, że stypendium Kawalki jest drugim tego rodzaju wyróżnieniem dla poety lubelskiego w ciągu trzydziestolecia; poprzednio otrzymała je Maria Józefacka.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na trzy sprawy. Aktorka lubelska, Bożena Mrowińska-Górska występowała kilkakrotnie z recitalami poezji, śpiewanej do własnej muzyki, wśród tekstów poetów uznanych już znajdowały się również utwory młodych poetów lubelskich. Załować należy tylko, że spotkań takich było zbyt mało.

Numer sierpniowy „Nowego Wyrazu” będzie numerem „lubelskim”.

Aktualnym opiekunem Koła Młodych przy Zarządzie Okręgu ZLP jest Henryk Pająk.

S. K.

MŁODY LUBLIN LITERACKI

PREMIER Wielkiej Brytanii, H. Wilson, specjalnie przyleciał samolotem do NRF na mecz Szkocji z Brazylią. Mistrzostwa świata w piłce nożnej ekscytują miliony ludzi, może nawet bardziej niż igrzyska olimpijskie. Ma to swoje uzasadnienie. W 1972 r. na Olimpiadzie w Monachium rozdano 364 złote medale, natomiast mistrzem świata w piłce nożnej może raz na cztery lata zostać tylko jedna ekipa narodowa. Dlatego kibice sportowi cenią mistrza świata najwyżej, jako największe osiągnięcie prestiżowe.

Obszernie pisze na ten temat zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel”, zwracając uwagę na fakt, że piłka nożna opanowała wszystkie kontynenty. Dla wielu ludzi nazwisko Beckenbauer znaczy więcej niż nazwisko Nixona. Są tacy, którzy wiedzą, kim jest Jahan Cruyff, ale nie wiedzą, kim Giscard d'Estaing.

Zdaniem socjologów wynika to w dużej mierze z tego, że sukcesy sportowe są czymś konkretnym, czymś co dzieje się bezpośrednio na oczach publiczności. Publiczność poprzez żywiołowy doping może nawet pomóc w zwycięstwie tej czy tamtej drużyny. Polityk zachodniemiecki, Conrad Ahlers, oświadczył w związku z tym: „Na stadionie publiczność ma wiele do powiedzenia, a w polityce — tylko podczas wyborów”.

Charakterystyczne, że w piłce nożnej układ sił różni się w zasadniczy sposób od tego, jaki istnieje w polityce międzynarodowej. W piłce nożnej dominują (artykuł był pisany przed ostatnimi mistrzostwami w NRF, układ sił może ulec obecnie zmianie) Brazylia i Urugwaj, Włochy i NRF, natomiast politycznie wielkie mocarstwa nie odgrywają tu żadnej roli. „Der Spiegel” ma na myśli przede wszystkim Stany Zjednoczone i Chiny.

Na stadionach polityka pozornie pozostaje na marginesie. Dyskusje kibiców obracają się wokół samego przebiegu gry, wokół sędziowskich

decyzji. A jednak polityka w wielu krajach ma ze sportem dużo wspólnego.

Najbardziej popularną ze sportów — piłkę nożną w szczególności — sposób wykorzystują reżimy dyktatorskie i młode, walczące o swój prestiż, państwa.

Tu przykład Haiti, o czym „Der Spiegel” nie wspomina. Dyktator tej wyspy, Duvalier, codziennie kontaktuje się z drużyną swego kraju, tysiące dolarów kosztują rozmowy telefoniczne między Haiti a

faszystów”. Na tych mistrzostwach włoska drużyna maszerowała pod faszystowską flagą, przy dźwiękach faszystowskich pieśni bojowych.

W dwa lat później Niemcy były siedzibą Igrzysk Olimpijskich. Ich drużyna była uważana za faworyta. Na meczu Niemcy — Norwegia byli obecni Hitler, Hess i Goebbels. Niespodziewanie wygrali Norwegowie 2:0. Widzowie wygwizdali niemiecką drużynę, a Hitler, pełen wściekłości, opuścił stadion. W efekcie tej porażki musiał ustą-

z zawodnikami niemieckimi w Stuttgarcie. Wygrała wówczas 6:0. Nie liczył się jednak wówczas wynik: ważne było, że po kilku latach restrykcji Niemcy znów grają w piłkę...

A oto inne fakty mówiące o popularności piłki nożnej.

Urugwaj stał się znany w świecie głównie dzięki swym sukcesom piłkarskim (dwa złote medale olimpijskie, dwukrotne mistrzostwo świata). Ze względu na sławę piłkarską rząd Urugwaju przesunął obchody przypadającej w 1928 r. rocznicy uzyskania niepodległości na rok mistrzostw świata — 1930. Wówczas w ciągu zaledwie ośmiu miesięcy powstała w Montevideo największa po gmachu parlamentu budowla stolicy — stadion „Centenario”.

Liczne młode państwa afrykańskie z dużym nakładem pieniędzy organizują pompacyjne „igrzyska niepodległości”, widząc w sporcie tę szansę, która w innych dziedzinach życia jeszcze długo pozostanie dla nich zamknięta: szansę udowodnienia mieszkańcom innych kontynentów, że są im równe, a nawet ich przewyższają.

Państwa afrykańskie, będące często zlepkami licznych, często wrogich w stosunku do siebie plemion, wykorzystują też piłkę jako czynnik integrujący. Przywódca Nigerii, gen. Gowon, jeszcze w czasie trwania wojny domowej z Biafrą świadomie kazał włączyć do nigerijskiej kadry narodowej dwóch przedstawicieli plemienia Ibo.

Jednak najbardziej tragiczny mecz odbył się w 1942 r. w Kijowie. Na rozkaz hitlerowskiego dowództwa znajdujący się w niewoli piłkarze kijowskiego Dynamo rozegrali mecz z jednostką Luftwaffe. Mecz, który miał być demonstracją wyższości niemieckich sportowców, zakończył się zwycięstwem zmierzonych jeńców radzieckich 5:3. Tego było za wiele dla hitlerowców. Czterech piłkarzy radzieckich zostało rozstrzelanych. Pomnik ku ich czci stoi dziś w Kijowie.

PIŁKA NOŻNA A POLITYKA

NRF. Drużyna traktowana jest jako instrument do podnoszenia prestiżu reżimu. Za wygranie meczu z Włochami zawodnicy mieli otrzymać 300 tysięcy dolarów premii. Oczywiście ze skarbu państwa.

Z lat dawniejszych tygodnik zachodniemiecki przypomina mistrzostwa świata w 1934 r., odbywające się we Włoszech. W ramach przygotowań do tych mistrzostw Mussolini mianował faszystowskiego generała Vaccaro swego rodzaju komisarzem politycznym we włoskim związku piłki nożnej. Vaccaro ogłosił wówczas, że najwyższym celem igrzysk jest pokazanie każdemu gościowi, iż „faszystowski sport poprzez poczucie odpowiedzialności jego kierowników i dojrzałość widzów uosabia najwyższe ideały

pię trener niemieckiej kadry olimpijskiej.

Trzy dni przed mistrzostwami świata w 1938 r. (Francja) nastąpił Anschluss Austrii. Hitler, pragnąc, aby drużyna niemiecka reprezentowała Wielką Rzeszę, polecił włączyć do reprezentacji zawodników austriackich. „60 milionów Niemców gra w Paryżu” triumfował „Voelkischer Beobachter”. Wkrótce okazało się, że mała Szwajcaria po remisie 1:1 i zwycięstwie 4:2 wyeliminowała Niemców z turnieju. „Grało 60 milionów Niemców — pisał wówczas ze satysfakcją zuryski „Sport” — a nam wystarczyło jedenastu graczy...”

Charakterystyczne, że drużyna szwajcarska była pierwszą, która po wojnie, w 1948 r., rozegrała mecz

W Którym żyjemy

U ZMIERZCHU ŻYCIA

ZACHODNIEMIECKI tygodnik „Die Zeit” zwraca uwagę na fakt, że Europa ma największy odsetek ludzi starych. Osoby w wieku powyżej 60 lat stanowią prawie 20 procent ludności. W obecnym stuleciu odsetek ten niemal się potroił. We Frankfurcie na przykład żyje 100 tysięcy ludzi, a w Hanowerze 90 tysięcy, którzy przekroczyli sześćdziesiątkę.

Tymczasem stale brak miejsc w domach starców i przytułkach, brak koncepcji rozsądnego zatrudnienia emerytów.

Według francuskich danych statystycznych górnicy mogą liczyć (oczywiście, są wyjątki) na 61 lat życia, robotnicy — na 62, brygadziści — na 65, kupcy — na 67, urzędnicy — na 70 i pracownicy wolnych zawodów — na 74. Sceptycy wśród osób zajmujących się problematyką starości, zapytali wspanię, czy w ogóle oplaca się być starym. „Życie zaczyna się z entuzjazmem — mówi przystawie — a kończy... reumatyzmem”.

Podczas gdy w publicystyce pisze się o fali seniorów, podczas gdy rzeźbi się obraz miłego staruszka, statystyka ujawnia rzeczy przerażające! Spośród 75-80-letnich odbiera sobie życie 57 osób na 100 tysięcy mieszkańców, spośród 80-85-letnich — 69, zaś 85-90-letnich — 72, a spośród osób w wieku ponad 90 lat — 103. Przeciętą dla innych klas wieku wynosi 28 samobójstw na 100 tysięcy mieszkańców.

Lekarze powiadają, że nikt nie umiera ze „starczej słabości” dlatego, że jest stary. Hans Franke, profesor nauk medycznych, przeprowadził badania na osobach liczących ponad 100 lat. Stwierdził, że ani zrezygnowanie z alkoholu lub nikotyny, ani też jedzenie czosnku lub kuracje jogurtowe nie przedłużają życia. Wielu spośród 100-letnich pali, pije mocną kawę, wódkę i wino. Rzeźba najważniejszą jest, aby nie przejść na „dożywocie”, lecz wręcz przeciwnie: pozostać żywym duchowo i społecznie. Stary człowiek nie powinien dać się zrobić starym.

W Republice Federalnej Niemiec większość starych obywateli (56 proc.) żyje samotnie. 4 proc. spośród nich mieszka w domach starców, które są mieszaniną koszar i szpitala. Nigdzie stary czło-

wiek nie czuje się tak samotny, jak w domu starców, ponieważ prawie nigdy nie ma okazji, aby być samym. Są to wyspy spisanych na straty, budowane na peryferiach miast, jak koszary i zakłady karne...

Czy w ogóle oplaca się zestarzeć? Często nasuwa się człowiekowi takie pytanie. Ba!

CO PIĄTY CZŁOWIEK?

CO piąty człowiek cierpi na poważne zaburzenia umysłowe. Tak przynajmniej uważają eksperci Światowej Organizacji Zdrowia. Wymieniony wskaźnik jest wyższy w krajach rozwijających się, wyższy z powodu niedożywienia ich mieszkańców. Do głównych problemów zdrowia psychicznego, które gnębią ludzkość, należą: depresja, schizofrenia, epilepsja, niedorozwój umysłowy, choroby zakaźne układu nerwowego oraz skrzywienia psychiczne, będące właśnie następstwem niedożywienia.

Z drugiej jednak strony człowiek odczuwa też ujemne skutki postępu nauki i techniki.

MŁODE PROSTYTUTKI

KAŻDEGO dnia w stolicy Meksyku zatrzymuje się ponad 50 dziewcząt w wieku 12-14 lat, uprawiających publicznie nierząd. Policja alarmuje z powodu powagi tego zjawiska.

Jak wynika z wyliczeń, wszystkie zatrzymane dziewczęta pochodzą z rozbitych rodzin lub są córkami samotnych kobiet.

W Meksyku niepokojące jest też zjawisko nielegalnego przerywania ciąży. Każdego roku 50 tysięcy kobiet poddaje się temu zabiegowi, a z tej liczby ok. 5 tys. umiera na stole operacyjnym lub w wyniku komplikacji spowodowanych różnymi powikłaniami przy prowizorycznych zabiegach. Znaczący procent przypadków nielegalnego przerywania ciąży dotyczy nieletnich dziewcząt.

RODZICE W OCZACH DZIECI

FRANCUSKI Instytut Badania Opinii Publicznej przeprowadził ankietę wśród dzieci w wieku... 8-14 lat. Temat: rodzice.

Ankieta wykazała, że w oczach małych dziewczynek dorosły jest człowiekiem najbardziej pogodnym, zaś według starszych chłopców — najbardziej zgorzkniałym. Jednakże do 10 roku życia zarówno dziewczynki, jak i chłopcy większość chłopców uważa dorosłych za ludzi wesołych i pogodnych. Jest to ten wiek, kiedy dziecko czuje się kochane, pieczołone i chronione. Prawdziwe kłopoty zaczynają się nieco później.

Im rodzina jest liczniejsza, tym bardziej dzieci są skłonne uważać rodziców za ludzi wesołych. Obecność braci i sióstr stwarza w odczuciu dziecka atmosferę żywego podniecenia. Z odpowiedzi dzieci wynika, że wrażenie „smutku dorosłości” jest największe wtedy, gdy w domu „rządzi” niepodzielnie ojciec.

A oto stereotypy matek:

— matki bawiącej się ze swoimi dziećmi, tzw. „matki przyjaciółki”;

— piekącej jakieś ciasto w kuchni, tzw. „matki ciasteczka”;

— stojącej się przed toaletką, tzw. „matki łazienkowej”;

— matki robiącej na drutach, która jednocześnie baczny na dzieci, tzw. „matki łagodnej”;

— matki, przedmiotującej ścianę w pokoju, tzw. „matki energetycznej”;

— matki bardzo młodej, odbywającej spacer z dzieckiem, tzw. „matki-dziecka”;

— matki otulającej szalem szyć swego dużego już chłopca, tzw. „matki-kwoki”.

Gdy takie stereotypy przedstawiono uczestnikom ankiety, pierwsze miejsce zajęła „matka przyjaciółka”, chociaż zdobyła ona tylko jedną czwartą wszystkich głosów. Ale dziewczynkom odpowiadała i „matka światłowa”!

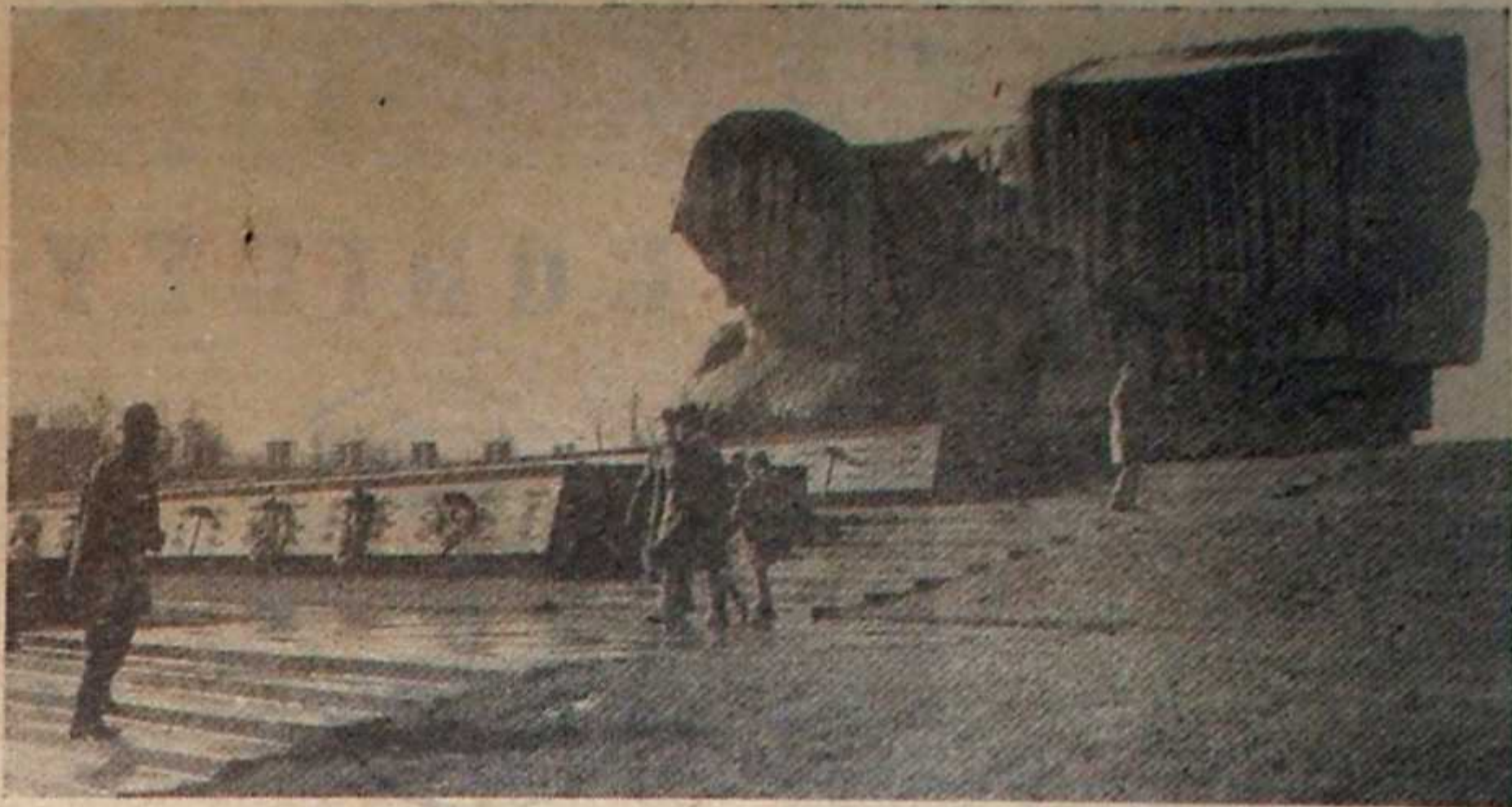
DESZCZ leje jak z cebra. Ale przed Twierdzą Brzeską, Twierdzą-Bohaterem, sznur autobusów i samochodów. Wycieczki nawet z odległych stron ZSRR.

Twierdzę zwiedzałem przed dziewięcioma laty. Też w czerwcowym dniu. Żar lał się z nieba. Grupę ludzi oprowadzał przewodnik. Nie była zbyt liczna.

W 1965 roku teren ten wyglądał zupełnie inaczej. Wówczas nie stały monumentalne pomniki ani gigantyczna brama wejściowa w kształcie pięcioramiennej gwiazdy. Nie rozlegał się utrwalony na taśmie magnetofonowej głos Lewitana, oznajmiającego w tragicznym dniu 22 czerwca 1941 roku przez moskiewskie radio o napaści Niemiec hitlerowskich na ZSRR.

Ten głos, tak znany, sprawia dziś niesamowite wrażenie. Jakże muszą go przyjmować ci, którzy tu przeżyli ów dzień 22 czerwca i dni następne!

Dni piekła...



„UMIERAM, ALE NIE PODDAJĘ SIĘ“

Twierdza Brzeska Twierdza - Bohater

Historia sprawiła, że w stulecie ukończenia budowy twierdzy rozgorzał tutaj bój, który my, Polacy, możemy tylko porównać z obroną Westerplatte.

Z relacji tych, którzy ocalili, z dokumentów, z książek trudno beznamytnie odtwarzać fakty.

Jeszcze o północy 22 czerwca, dosłownie na kilka godzin przed wybuchem wojny, ekspres Berlin—Moskwa, jak zwykle, przejechał przez Brześć, ale już o 3 w nocy komendanci poszczególnych odcinków zawiadomili telefonicznie naczelnika oddziału straży granicznej we Włodzimierzu Wołyńskim, że wzdłuż całego przeciwnego brzegu Bugu słychać szum motorów. Zbiegło się to z nadesłaną z Moskwy przez rząd radziecki dyrektywą, stawiającą siły zbrojne w stan gotowości bojowej. Dyrektywa nie wszędzie jednak dotarła na czas.

Komendanci przeczuwali, że dzieje się coś niedobrego, ale zapewne nie wiedzieli, iż po drugiej stronie granicy stoi tak olbrzymia armia.

Zgrupowanie wojsk hitlerowskich, przeznaczonych do napaści na ZSRR, składało się z 153 dywizji, nie licząc wojsk sojuszniczych. Wraz z oddziałami wsparcia, kwatermistrzostwa, siłami morskimi i powietrznymi niemal pięć milionów ludzi

przygotowywało się do podboju Kraju Rad. Wśród nich — tzw. służba bezpieczeństwa, mająca za zadanie likwidację komunistów i pracowników politycznych Armii Radzieckiej.

Lawina runęła o świcie. Przed godziną 4, tysiące niemieckich dział otworzyło ogień. Wielkie siły lotnicze wtargnęły do obszaru powietrznego ZSRR. Nawet Sewastopol i Kronsztadt stał się celem ataków.

W muzeum Twierdzy Brzeskiej zachowała się tragiczna pamiątka: budzik, który trafiony pociskiem nagle się zatrzymał.

Już rankiem pierwszego dnia wojny, korzystając z zaskoczenia, hitlerowcy wdzierają się na teren twierdzy. Sądzą, że uda im się zająć ją z marszu. Walki trwają przez cały dzień: Niemcy zostają odparci.

W tym samym czasie nierówną, bohaterską walkę toczą strażę pograniczną. Piękną kartę Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego zapisała m. in. 13 strażnica 90 Włodzimiersko-Wołyńskiego oddziału wojsk pogranicza pod dowództwem lejtnanta A. Lopatina. Przez jedenaście dni toczyły się tu krwawe zmagania. Nikt z obrońców nie uszedł z życiem, ale i najeźdźcy ponieśli poważne straty.

Pierwsza noc po ataku mija w twierdzy dość spokojnie, ale rankiem rozszczękują się megafony,

wzywające garnizon do poddania się. „Wasza walka jest beznadziejna”. Garnizon odpowiada ogniem. W składzie garnizonu są żołnierze należący do 6 i 42 dywizji piechoty (gros sił wycofał się z Brześcia) oraz pododdziały wojsk ochrony pogranicza.

24 czerwca powstaje sztab obrony twierdzy i wspólne dowództwo. Na czele — kapitan I. Zubaczew. Jego zastępca do spraw politycznych — E. Fomin.

Wszystkie, ciągle ponawiane, prawie nieustające ataki hitlerowskie zalamują się. W czwartek, 26 czerwca, część obrońców, 120-osobowa grupa, usiłuje opuścić twierdzę i przebiec się do swoich. Wielu spośród nich ginie, niektórym jednak udaje się przedostać na drugi brzeg Muchawca, dopływu Bugu. Niemcy, sądząc, że teraz pójdzie im łatwiej, przystępują do szturmów. Ale i on zostaje odparty.

Nadchodzą trudne dni: do akcji wkraczają działa 540 mm. Ogień niszczy łączność. Obrońcom zaczyna brakować amunicji, żywności, a nade wszystko wody. Pod osłoną nocy krasnoarmiejcy usiłują ją czerpać z rzeki. Po wodzie ślizgają się światła reflektorów, padają strzały.

Lotnictwo nieustannie bombarduje twierdzę. Bomby 500-kilogramowe. Bomby 1800-kilogramowe. Wala się wyższe kondygnacje koszarowe. Niektóre umocnienia zostają przez hitlerowców zdobyte, ale zażarty bój trwa o każdy metr ziemi, o każdą izbę, o każdą piwnicę.

Miotacze ognia. Bomby z gazem łzawiącym. Obrońcy, a z każdym dniem, z każdą godziną jest ich coraz mniej, nie poddają się. Ciężko ranny komisarz Fomin dostaje się w ręce oprawców. Hitlerowcy rozstrzelują go w pobliżu Bramy Chełmskiej.

1 lipca bój toczy się nadal. Bronią się samodzielne grupy żołnierzy. Niejednokrotnie dochodzi do walki na bagnety.

2, 3, 4, 5 lipca... Obrońcy zakopują skrzynki z dokumentami, sztandar. Po latach, szczątki legitymacji partyjnych, książeczek wojskowych, niewystających listów i sam sztandar znajdują się w salach muzealnych.

Trwa walka na śmierć i życie. Zaczyna się już bitwa smoleńska, zaczyna obrona Kijowa, a Twierdza Brzeska ciągle, ostatkiem sił broni się zjadliwie. W II tomie Historii Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego znajduje się szereg nazwisk bohaterów twierdzy. Dowódca 44 pułku piechoty, P. Gawriłow, wycieńczony długą, zaciętą walką, głodem i pragnieniem, dopiero w trzydziestym drugim dniu wojny, prawie nieprzytomny, dostaje się do niewoli. Do ostatka odpiera ataki wroga.

Z nieopisaną odwagą toczą zażarty bój kapitan W. Szablowski, starszy kierownik polityczny N. Niestierczuk, lejtnanci I. Akimocznik, A. Kizewatow, A. Naganow, młodszy sierżant R. Siemieniuk.

Broczący krwią anonimowy żołnierz ryje na jednym z murów koszar zachodnich słowa: „Umieram, ale nie poddaje się. Żegnaj Ojczyzno! 20.VII.41 r.". Już nie ma sił, aby skreślić swoje nazwisko. Podobnej treści napis („Umrzemy, ale nie poddamy się”) z fragmentem muru znajduje się dziś w muzeum twierdzy. Napis ten można też oglądać na jednej ze stron pamiątkowego medalu wydanego w trzydziestolecie bohaterskich bojów.

Dzień 20 lipca uznaje się za ostatni dzień obrony.

Dziś Twierdza Brzeska, Twierdza-Bohater uczy patriotyzmu, stanowi wspaniałą lekcję dla młodego pokolenia. Właśnie pionierzy trzymają wartę na dziedzińcu obok grobów bohaterów. Płonie wieczny ogień. Tutaj też komsomolcy otrzymują legitymacje, tutaj składają uroczyste przyrzeczenia.

A monumentalne pomniki, których zdjęcia zamieszczamy, zostały odsłonięte w 1971 roku. Projekty powstały pod kierownictwem narodowego artysty ZSRR, laureata Nagrody Leninowskiej, A. Kibalnikowa.

M. J.



Zdjęcia: J. Trembecki

PRZYJEŁO się u nas mniemanie, jakoby zdyscyplinowanie kobiet w pracy zawodowej było gorsze niż mężczyzn. I pozornie tak wygląda rzeczywistość — w pierwszym kwartale roku bież. w naszym województwie każdy mężczyzna opuścił przeciętnie 3,94 dni pracy, natomiast każda kobieta 6,08. Różnica duża. Ale, gdy trochę poszerzymy za kulisami tej statystyki okaże się, że proporcje są zupełnie inne.

Już tylko do natury można mieć pretensje, że to właśnie kobiety rodzą dzieci. Istnienie i zdrowie przyszłych pokoleń zależy m.in. od tego, czy przed porodem i w okresie niemowlęctwa dziecka kobieta będzie musiała pracować, czy też społeczeństwo zapewni jej normalne warunki życia. Nasze ustawodawstwo zapewnia to każdej kobiecie pracującej.

Jeżeli więc od czasu nieprzepracowanego przez kobiety odliczymy urlopy macierzyńskie, zwolnienia dla matek karmiących oraz zwolnienia z tytułu opieki nad dziećmi chorymi — okaże się, że kobieta przeciętnie opuszcza 3,52 dnia w kwartale, natomiast mężczyzna, jak poprzednio, 3,94. Dość powszechnie utrzymująca się opinia o niedyscyplinowaniu kobiet okazuje się z gruntu nieprawdziwa...

Prawdą jest, że kobiety nieco więcej chorują. W statystyce daje to około 19 minut w ciągu kwartału. Dla odmiany jednak są bez porównania bardziej obowiązkowe: jeżeli chodzi o nieusprawiedliwione opuszczanie pracy wskaźnik „męski” jest sześć razy wyższy! Nie wiem, w jakiej kolejności uszeregować przyczyny tego zjawiska. Myślę jednak, że poważną rolę odgrywa tu tradycyjnie męskie niedzielanki szewskie, dziś chciałoby się powiedzieć raczej — budowlane. A także fakt, że na rynku pracy mężczyźni wciąż łatwiej znaleźć pracę niż kobiecie.

Jednak statystyka nie zawsze zgadza się z życiem. Z papierków wynika, że np. w handlu każda pracownica opuszcza bez usprawiedliwienia zaledwie 5 minut w kwartale, podczas gdy pracownik pół godziny. Wiemy z praktyki — napotykać wciąż na napisy w rodzaju „wyszedłem do biura” lub „zaraz wrócę” — że z tą dyscypliną jest inaczej. Kontrola w setkach i tysiącach drobnych sklepów czy kiosków jest w praktyce iluzoryczna i te nazbyt częste „zaraz wrócę” nie są tam rejestrowane.

Z kolei należy zdezawuować drugą obiegową opinię, jakoby głównymi sprawcami nieobecności w pracy — usprawiedliwionej i nieusprawiedliwionej — byli pracownicy fizyczni. Nie potwierdziły się też obawy niektórych, że przyznanie pracownikom

fizycznym podwyższonych zasiłków chorobowych spowoduje lawiny dodatkowych zwolnień lekarskich i innych. Nic podobnego. W transporcie, łączności oraz gospodarce komunalnej i mieszkaniowej już teraz liczba opuszczonych z różnych przyczyn dni pracy jest wyższa u pracowników umysłowych.

KOBIETY



CZY

Jerzy Dostalni

MĘŻCZYŹNI?

Natomiast w pozostałych działach gospodarki jest wprawdzie jeszcze odwrotnie, ale dysproporcja stale maleje i jeżeli taka tendencja utrzyma się nadal, to za trzy lata i tu sytuacja się odwróci.

Opierając się nadal na materiałach, opracowanych przez Wojewódzki Urząd Statystyczny, trzeba jednak zasygnalizować kilka niebezpiecznych zjawisk, świadczących o rozluźnianiu się dyscypliny w niektórych działach naszej gospodarki.

Tak np. w ciągu roku niemal dwukrotnie wzrosła liczba dni nieprzepracowanych, ale usprawiedliwionych z tzw. różnych przyczyn (poza chorobami, pracą w rolnictwie, sprawami osobistymi, pracą społeczną czy szkoleniem). Wydaje mi się to szcze-

gólnie niepokojące. Nie mam możliwości przezytania papierków, złożonych do akt personalnych tysięcy ludzi i stwierdzenia, co tam napisano i zaakceptowano. Ale można chyba twierdzić, że w wielu przedsiębiorstwach kadrowej i dyrektorzy wciąż jeszcze są dobrymi wujkami i pod płaszczykiem rzekomo dobrych stosunków między ludzkimi po prostu tolerują bumelanctwo. Bo jakże inaczej wy tłumaczyć fakt, że np. w gospodarce komunalnej i mieszkaniowej mężczyźni mają aż 32,4 dni (na 100 zatrudnionych w kwartale) nieobecności usprawiedliwionej z owych „innych przyczyn” (podczas gdy kobiety 9,6 dni)?

Nie wydają się również uzasadnione różne pozycje w rubryce zwolnień do prac rolnych. Tak, zwolnienia z tego tytułu dla pewnych grup pracowników są nawet ustawowo zagwarantowane, bo przecież jeśli chcą wszyscy i żywność trzeba produkować. Ale jeżeli w rolnictwie społecznym czasokres zwolnień z tego tytułu (a więc do prac we własnych gospodarstwach rolnych) w porównaniu do roku poprzedniego u pracowników fizycznych spada o dwie trzecie, natomiast u pracowników umysłowych wzrasta trzykrotnie — to coś tu nie jest w porządku. Zwłaszcza, że aura w pierwszym kwartale raczej nie sprzyjała pracom rolnym, co znalazło prawidłowe odbicie w zwolnieniach pracowników fizycznych.

WUS nazwał swoje wyczerpanie „informacją sygnałową”. Myślę, że jest to sygnał dla nas wszystkich: przyjrzyjmy się dokładniej dniom i godzinom, których my sami i nasi koledzy lub koleżanki nie przepracowują. W pierwszym kwartale roku 1973 wypadło na każdego z nas 4,53 dni, w roku bieżącym już 4,70. Wzrost więc jest wyraźny — o 3,7 proc. Najgorzej w transporcie i łączności — aż o 18,3 proc., podczas gdy np. w rolnictwie zanotowano spadek o 2,4 proc. Czy zawsze opuszczenie pracy, nawet jeżeli dostarczymy do kadr odpowiedni papier, jest rzeczywiście uzasadnione?

Mamy już poza sobą pierwszą wolną sobotę, wkrótce będzie następna, potem przyjdą kolejne. Jak wiemy, z tytułu tych wolnych dni nie może nastąpić spadek produkcji. Gdyby w przemyśle wszyscy zatrudnieni zaoszczędzili tylko jeden dzień w kwartale, mielibyśmy dodatkowo dobrą wartość około 150 milionów złotych. Budownictwo mogłoby nam dać co kwartał trzy duże budynki mieszkalne. Cała gospodarka naszego województwa — ponad 2 miliardy złotych!

Ostatnie tango w Stoczku z pasztetową w zębach

Maciej Podgórski

PONIEWAŻ nie przeceniam wpływu sztuki na ludzkie poczynania doczesne oraz nie wierzę w inspiracyjne moce i skuteczność wysiłków ze strony instytucji powołanych do upowszechniania kultury, więc jest mi wszystko jedno, jakim repertuarem obracają amatorskie zespoły teatralne na wsi. Niech sobie będzie „Miłość strażaka” czy „Zaloty na kwaterze”, niech nawet rolnicy sami napiszą i zagrają lovestory pt. „Ostatnie tango w Stoczku z pasztetową w zębach”. Też dobrze. Skoro ludzie więcej najchętniej widzą coś do śmiechu i coś do płaczu, najlepiej o miłości i żeby było krótkie, to nie trzeba im przeskadzać, siłą na przykład wskazując sztukę pani J. Skowrońskiej-Feldmanowej pt. „Wilk syty i koza cała”, dzieło z wczesnych lat pięćdziesiątych, którego główna satyra skierowana jest przeciw wiejskim dziewczynom ubierającym się w kapelusze i lamującym nogi na szpilkach. Utwór pani Skowrońskiej-Feldmanowej nikt dziś nie ubawi, nawet wykonawców, gdyż satyra jego przebrzmiała absolutnie, bo wiadomo, że dziś wiejskie dziewczyny chodzą w spodniach, bananowach i na potężnych korkach, posuwicie i z łagodnym wdziękiem, więc z czego tu się śmiać.

Niech żyją i rozkwitają amatorskie zespoły teatralne na wsi bez udziału miejskich upowszechniaczy kultury i uszczęśliwiciarzy na siłę. Od dawna bowiem powinno być wiadome, że sens i powodzenie tej sprawy spontanicznie realizuje się nie w osiąganiu jakichś „wysokich walorów” artystycznych, lecz w swego rodzaju wylądowaniu aktywności psychicznej i towarzyskiej członków zespołów poprzez wspólną zabawę w teatr. Ktoś powiedział, że te zabawy nie muszą być nawet wzięte przedstawie-

niami, mogłyby pozostać w stadium prób, choć wtedy odpadłoby biletowanie imprez, a więc i środki na skromne inwestycje gospodarskie. Nigdzie jednak nie zostało stwierdzone, że wiejskie zespoły teatralne muszą na siebie zarabiać.

A jeśli już mniejszy inspiratorzy chcieliby coś zdziałać, to mogliby skłonić rolników, iżby ci ostatni inscenizowali zamierający folklor lub sami pisali sztuczki i teksty satyryczne, przede wszystkim satyryczne o dzisiejszych układach na wsi, a potem je ewentualnie wystawiali. O tym, że panny wiejskie robią sobie manieure, następnie patykami macają kurę, kura zaś zbiega z patykami w siedzeniu. O tym, że synalkowie limuzyną na wieś do ojców przyjeżdżają po słoninę, cebulę, mąkę i inny dobytek, a ojece postne kluski muszą lykac. Na tej zasadzie pracuje kabaret „Rzep” z Krzczonowa. Żeby tylko owe przedstawienia nie były tak bombastyczne i tak dobrymi chęćmi wybrukowane jak „Nasza ziemia” z repertuaru zespołu dębickiego (powiat Lubartów).

Tyle mi się nasunęło w kwestiach merytorycznych podczas IV Wojewódzkiego Sejmiku Teatralnego Amatorskich Zespołów Wiejskich w Stoczku Łukowskim między 31 maja a 2 czerwca br. Może by mi się nasunęło więcej, gdyby mnie przez wszystkie trzy dni dyrektor Stodkowski z łukowskiego PDK nie męczył, ile to ja złego narobiłem artykułem o końcu łukowskiej miserii. Widać ludzie nie lubią tych, co im dobrze chcą zrobić, i zanosi się na to, że zostaną męczennikami łukowskiej ziemi. Jeszcze jedna przestroga dla uszczęśliwiciarzy na siłę.

Stoczkowski sejmik, czwarty z kolei, pierwszy, na którym byłem, podobno ma być ostatnim ze zorganizowanych w tym miasteczku. Miejscowość sprawa się już opatrzyła, poza kilkunastorgiem dzieci płci obojga. Przybyli głównie organizatorzy oraz inspiratorzy ze szczebla powiatowego, wojewódzkiego i centralnego, a także pani Basia z

„Tygodnika Kulturalnego”, która bywa zawsze i wszędzie, jeśli tylko cokolwiek pachnie ruchem amatorskim. Może ten sejmik będzie ostatni w Stoczku, ale źle by było, gdyby był ostatni w ogóle. Jako najbliższą propozycję widzę Zwierzyniec, a jako ważną korzyść — stałe uczestnictwo aktorów zawodowych w tej imprezie. Są przecież jeszcze ludzie na wsi, którzy w ogóle żywego aktorstwa zawodowego nie widzieli (co robią upowszechniacze kultury?), ponieważ jednak telewizja nie to.

Tym razem przyjechał Krzyszczak z „Kirelejson” według „Konopielki” Redlińskiego. Krzyszczak osiągnął już taki poziom aktorskiego kunsztu, że mógłby sam jeden z powodzeniem „Kamasutrę” wystawić (kto wie, czy to nie jest dlań następna szansa). Oczywiście, nie można duetu Krzyszczak-„Konopielka” pokazywać podczas uroczystych akademii, bo się wówczas świątobliwa scenografia klęci z dostojnymi portretami i nastrosjami. Ale ludowe święto, sejmik ludowy w sam raz dla Krzyszczaka. Jest to bodaj jedyny w Polsce przypadek aktora z prawdziwego zdarzenia, który wcielił ideę teatrzycy jarmarcznego skrzyżowanego z plebejskim Sowidzrzaniem. I jest to chyba jedyny w Polsce prawdziwy teatr jednego człowieka. Krzyszczak sam robi scenografię, reżyserię i aktorstwo (ongis widziałem, jak przy pomocy gitary i kapelusza całego Bulwicia Gałęzińskiego odstawił).

Podczas spektaklu w Stoczku spał się filtr reflektora, jakies starsze niewiasty zawyły z oburzenia na tekst sztuki, jacyś młodzieńcy zawyły z nadmiaru sił vitalnych, ponieważ akurat powrócili z dali sinej, etylowej. Krzyszczak wszystko wytrzymał, zaś następnego dnia spakował majdan cały do swego „trabanta” i ruszył w Białostockie, krainę Redlińskiego. Szkoda, że nie zobaczyłem, jak tam został przyjęty ze swym pomysłem na teatr, pozornie prostym, a jednak jakoś perfidnym i trudnym. Zyręć mu

wszystkiego najlepszego. Żeby tylko Krzyszczaka nie naszła ochota na pełne uzawodowienie się i stałe czepienie przy jakimś wojewódzkim lub stołecznym teatrze. Straciłoby się wtedy niekonwencjonalną scenę jednego aktora, a moglibyśmy zyskać jeszcze jednego aktora, któremu nie musi się udać.

„W Stoczku Łukowskim, mieścinie sławnej armatami, co je zdobywała wiara rękami czarnymi od pluga, a więc pod jeneralem Dwerneckim, widzę obraz owej bitwy wymalowany na ścianie korytarza liceum” — tak rozpoczął ongiś Jan Szpruch swój raport o sławetnym Wowce, czyli Włodzimierzu Brodeckim, następnym niekonwencjonalnym człowiekiem, który przybył na stoczkowski sejmik. Nie lubię takiej infantylno-żartobliwej stylizacji małych kaziów-reporterów. Ale jeśli już, to nie „zdobywała wiara rękami”, lecz „zdobywała wiara rękami” (nie moje — Zeromskiego!). A dla ścisłości reporterskiej: nie w liceum stoczkowskim nie jest wymalowane na ścianie, lecz wiszą na ścianie, i nie obraz, lecz fotograficzna reprodukcja obrazu Kossaka („Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara”).

Polubiłem natomiast Wowkę, który kiedyś wstawił się tym, że konno (wierzechem) odwalił rajd przez Polskę szlakiem bojowym i Samodzielnej Warszawskiej Brygady Kawalerii — 2000 kilometrów! W Stoczku Brodecki także występował na koniu, sprasując publiczność na sejmik. Jak widać — nieskutecznie. Może to zwinila pogoda barowa, do której zawsze mam szczęście, ilekroć jestem w powiecie łukowskim.

Miał Wowka ostatnio następny niekonwencjonalny pomysł na życie i na kulturę. Chciał w dniach 25 VI—22 VII zorganizować spływ tratwy amatorskiego zespołu teatralnego. Mieli żeglować Wisłą z Kazimierza do Westerplatte, po drodze dając spektakle. Kosztu niewielkie, pomysł przedni i ideowo jakby na czasie.

Co się mianowicie stało? Przy pierwszej trudności wycofali się chelmscy organizatorzy oraz animatorzy kultury. Nie twierdzą, iż trudność była nieistotna (jakies tam względy obyczajowe zastrzyki), lecz przecie do ominięcia... Był pomysł, nie będzie imprezy. Tak to umierają śmiercią nienaturalną przedsięwzięcia, które się nie mieszczą w skonwencjonalnym kanonie upowszechniania kultury.

SZOKUJĄCY SZUKALSKI

Lechosław
Laniński

BYL i jest Kazimierz Dolny ulubionym miastem ludzi sztuki, szczególnie malarzy, którzy przyjeżdżają tutaj na plenery i sympozja, a także po to, aby wypocząć w cieniu sędziwych murów. Kazimierz zafascynował także Stanisława Szukalskiego — rzeźbiarza i rysownika, który w latach trzydziestych spędził w nim kilkanaście pracowitych dni. Szukalski zamierzał osiedlić się w Kazimierzu na stałe, otworzyć pracownię malarską i kształcić w niej młodych adeptów sztuki. W tym celu zakupił pałacyk zwany „Albrechtówką” (od nazwiska pierwszego właściciela Albrechta). Jednocześnie, chcąc zmanifestować swoją sympatię dla miasta i jego historii, zaprojektował pomnik Kazimierza Wielkiego, który nie doczekał się jednak realizacji, ponieważ artysta wyjechał nagle z Kazimierza, aby nigdy doń nie powrócić.

Stanisław Szukalski urodził się 3 grudnia 1895 r. w Warcie koło Sieradza. Jako kilkuletnie dziecko wyjechał z rodzicami (ojciec — kowal, matka — nauczycielka gry na fortepianie) do Stanów Zjednoczonych, które stały się dla niego drugą ojczyzną. Spędził w nich większość swego życia.



Stanisław Szukalski — „Walka człowieka z człowiekiem, ilości z jakością” (gips) 1929 r. (Wg reprodukcji)

Tam też kształtował się jego światopogląd artystyczny i rodziły pomysły, które tak bardzo zbulwersowały polskie środowisko kulturalne. Do Polski przyjeżdżał kilkakrotnie, ale nie znajdując zrozumienia i aprobaty dla swojej kontrowersyjnej twórczości, z zalem opuszczał kraj, aby po kilku miesiącach czy latach powrócić do tych samych miejsc i ludzi w nadziei osiągnięcia sukcesu. Do tego nigdy jednak nie doszło, a nawet działało się zupełnie coś odwrotnego. Wszędzie, gdzie tylko wystawiał swoje rzeźby i rysunki poparte „krasomówczymi” wystąpieniami, był przyjmowany negatywnie. Dlaczego? Wydaje się, że powodów było kilka, a najważniejszym, obok utopijnych haseł na temat reorganizacji szkolnictwa artystycznego w Polsce, był sam Szukalski.

Obdarzony dużym talentem, rozpoczął twórczość plastyczną bardzo wcześnie. Już w roku 1903, jako uczeń Instytutu Sztuki w Chicago, wykonał szereg rysunków i rzeźb, które swoją dziwną, niespokojną symboliką i swobodą w sposobie kształtowania gipsu zyskały uznanie profesorów i aplauz ze strony krytyków.

W czternastym roku życia przyjechał Szukalski do Krakowa, gdzie po zdaniu egzaminu wstępnego został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych, do klasy rzeźby Konstantego Laszczyki. Szybko robił postępy i w następnym roku akademickim otrzymuje wyróżnienie oraz medal srebrny za prace na wystawie. Niestety, zdolności nie idą w parze z innymi cechami młodego plastyka. Jest bardzo impulsywny i absolutnie negatywnie nastawiony do jakiegokolwiek uwag krytycznych na temat swojej twórczości. Taka postawa doprowadziła w efekcie do kłótni z prof. Laszczyką, po której Szukalski opuścił Akademię w 1913 roku i udał się do Stanów Zjednoczonych.

Już wówczas, a więc w momencie, kiedy stawiał pierwsze kroki na drodze do kariery artystycznej, daje się zauważyć cecha, która z biegiem lat po-

głębi się i zadecyduje o charakterze jego prac. Było to zamilowanie do szczegółów, swego rodzaju horror vacui, który powodował, że Szukalski mniejszą wagę przywiązywał do formy, zajmując się przede wszystkim stroną treściową dzieł. W efekcie zaczęły powstawać przedziwne twory, w których symbole zagęszczały się bez sensu, a kształty wyrazały jeden z drugiego powodując, że bardziej do tych kompozycji pasowało słowo szarada, rebus, aniżeli rzeźba. Całości dopełniały zapożyczenia stylowe, którymi Stach z Warty (pseudonim artystyczny Szukalskiego) posługiwał się bardzo często. Nie brak więc było płynnych i falistych elementów secesyjnych, reminiscencji sztuki Azteków i Majów (efekt pobytu w Stanach Zjednoczonych), swoistej odmiany ekspresjonizmu, a przede wszystkim cech przebrzmiałego już futuryzmu, najbardziej chyba widocznego w licznych biustach i postaciach męskich.

A właśnie te prace — zdaniem ich autora, który uważał się za największego z żyjących rzeźbiarzy polskich — miały być przykładem prawdziwie rodzimej twórczości. Ich „wysoki poziom artystyczny” i „jednolitość stylowa” miały otworzyć nowy okres w dziejach naszej rzeźby, która podobno przeżywała okres upadku i poza naśladowaniem i powtarzaniem osiągnięć sztuki Europy zachodniej, a szczególnie francuskiej, nic sobą nie reprezentowała.

Rzeźb tego typu było w twórczości Szukalskiego bardzo dużo. Wymieńmy chociażby „Wiecznicę baczności dla Gdyni”, „Remussoliniego”, czy też „Politwarusa” tj. rzeźbę konia, którego głowa zmieniała się w głowę orła z twarzą Piłsudskiego w otwartym dziobie.

Dopelnieniem tej przedziwnej, wręcz chorobliwej wyobraźni były hasła głoszone przez artystę. Szukalski proponował w nich zlikwidować Akademię Sztuk Pięknych, ponieważ przynoszą one naszej sztuce więcej szkody niż pożytku, kształcą ludzi pozbawionych predyspozycji do pracy indywidualnej, potrafiących malować tylko uduchowione martwe natury. Wszystkie pieniądze uzyskane ze sprzedaży dóbr akademickich należy przeznaczyć na utworzenie „Twórcowni” tj. pracowni, która byłaby kuźnią młodych talentów, miejscem, w którym każdy normalny człowiek mógłby zostać artystą, gdyby tylko wiernie wykonywał jej program.

W myśl tego programu, którego twórcą był oczywiście Szukalski, punktem wyjścia do wszelkiej działalności artystycznej była praca pamięciowa z pominięciem studium modelu, ponieważ tylko umysł decyduje o przydatności człowieka. Nie trzeba mieć talentu aby móc zostać artystą. Wystarczy myśleć obrazowo, a dojdzie się do całkowitej swobody w opracowywaniu jakiegokolwiek tematu. Należy tworzyć tylko za pomocą ołówka, nigdy nie malować farbami, ponieważ posługują się nimi nieuki i degeneraci z Akademii. Nie wolno też interesować się tym, co się dzieje w sztuce innych krajów, ponieważ nigdy nie dopracujemy się własnego stylu, własnych środków wyrazu i będziemy zawsze nosicielami obcych kultur. Tematycznie należy się skupić na epoce Piastów, ponieważ jest to najpiękniejsza karta w dziejach naszego narodu.

Młodzi ludzie, którzy zafascynowani tymi niecodziennymi teoriami utworzyli „Szczep Rogate Serce”, zwany też „Szczepem Szukalszczyków herbu Rogate Serce”, potraktowali propozycję swego Mistrza bardzo poważnie. Pojawilo się szereg prac, które, zdaniem ich autorów, nawiązywały do czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Aby kontakt Szczepowców z zamierzoną przeszłością był silniejszy, program „Twórcowni” przewidywał podczas wspólnej pracy w pracowni czytanie przez lektorów utworów z bohaterologii naszego narodu i innych krajów słowiańskich.

Dalszym krokiem do zacieśnienia łączności Szczepu z czasami legendarnego Piasta była zmiana imion chrześcijańskich na imiona pseudosłowiańskie. Szukalski nazwał je „Mianami”, aby odróżnić od imion, które są „trupem kiedyś indywidualnie dostosowanego Miana”.

Jeżeli do tego wszystkiego dołączymy działalność wydawniczą Szukalskiego, w której pełno było wyzwisk i brutalnych napaści na ludzi zasłużonych dla rozwoju życia kulturalnego w Polsce, to nie trudno zrozumieć, dlaczego sztuka jego była przyjmowana negatywnie, a on sam spotkał się ze sprzeciwem ze strony tych wszystkich, którym droga była jasność myśli i walka o godność człowieka. Szukalski nie poprzestał bowiem na głoszeniu haseł i teorii artystycznych, ale wykazał także brak należytej oceny zaistniałych faktów i szowinizm, czym zraził do siebie bardzo wielu odbiorców swojej sztuki. Ufny w słuszność obranej drogi twórczej, walczył z przeciwnikami we wszelki możliwy sposób, nie przebiegając w środkach. I tak podczas jednej z wystaw wydał ulotkę skierowaną przeciwko prof. A. Szyszko-Bohuszowi, którą zatytułował: „Górne cięcie Rozbohuszowanemu bawolowi na Wawelu”. Ze szczególną zawziętością atakował omawiających go krytyków, którym „poświęcił” trzy ulotki: „Biała zaraza w Krakowie”, „Co Szukalski myśli o nich — Odpowiedź Kakistokratom” oraz „Czas na was krytycy zawodowi rajfurzy Zachodu”.

Zapyta więc ktoś, po co w ogóle pisał się o człowieku, który nie wniósł do rozwoju sztuki polskiej



Stanisław Szukalski — „Politwarus” — projekt pomnika dla Warszawy (rys. ołówkiem) 1923 r. (Wg reprodukcji)

nie poza zamętem i stwierdzeniem, że jedynymi artystami byli: J. Malczewski, J. Matejko i Z. Stryjeńska — w malarstwie, oraz St. Szukalski — w rzeźbie. Wydaje się, że chociażby dlatego, iż był on swego rodzaju fenomenem, który potrafił wstrząsnąć naszym życiem artystycznym okresu dwudziestolecia międzywojennego, wywołał szereg skandali i zniknął. Zanim to jednak nastąpiło, przez szereg lat co pewien czas prasa miała temat do dyskusji i plotek, salony wystawowe zwykle pułstawa zapelniała się tłumami zwiedzających, a nazwisko Szukalski było na ustach wszystkich.

Obecnie Szukalski mieszka w USA w Kalifornii, gdzie pracuje nad wielkim dziełem na temat etymologii języka polskiego. Napisał już około 10 tomów tekstu, które zilustrował 6 tys. rysunków.

Marian Janusz Kawalko

* * *

Motto:

„Któż z nas może wyrzec się Ojczyzny?”

(Tadeusz Borowski)

poecie wicherzylowie

przegrałeś stary —
nie sprzedałem twarzy
tamten lęk ojca w czterdziestym pierwszym
wciąż mi doskwiera
w popiołach się żarzy
lecz nie rozdieram nad nim swoich wierszy

mylisz się stary —
nie przegrałem twarzy
wiem — co za burzę
kto poza historią
wierzę w genezis głośno i odważnie
w lirykę prostą i
wodoodporną

przegrałeś stary —
nie zapiekłem bólu
biel wciąż zestawiam z wiosną czerwienią
na wiejskiej drodze dzieci do słów mych się tulą
więc jak zataić serce
zamienić je w pieniądze

pamiętaj stary — stu faryzeusz
podało rokosz
ty szczerzej kłamałeś
już żadne twoje credo mnie szczerze nie wzruszy
więc pieśni swoje zabierz

przeleż wiesz —
przegrałeś

Jarosław Andrejuk

MIASTEczKO OSTRÓW

Miasteczko jak magazyn skrzyń
gdzie uliczki rozdierają pierwsze promienie
Gdy batem rolnik zawiązuje dzień jarmarczny.

A ciotki co znoszą jajo moralności
dźwigają Plotkę do chrztu
kiedy czas mierzy się
guzikami dziadka w surducie.

Rody Garnkolepów pieścą cebulę
filozofują do niej
gdy córka wlatuje nad prowincję
choć seksem.

Czasami żądem błynie alkohol
Gdy psy czekają pod płotami
na swojego Objawiciela...

„Rzeczpospolitej”, matki powojennej prasy polskiej, który ukazał się w Chełmie 23 lipca 1944 r., powstał zresztą w warunkach polowych, w drukarni urzędowej w samochodzie wojskowym. Następny, z datą 4 sierpnia, wyszedł już co prawda z maszyny rotacyjnej, ale była to wspomniana mobilna z piątego roku naszego wieku, dotknięta zaawansowaną sklerozą, trzymająca się życia tylko z poczucia historycznej ważności chwili. Funkcjonowała w Lublinie przy ul. Zamojskiej 12, a jej właścicielem był Alfons Szczuka, pozyskany dla sprawy rozkazem majora Jerzego Borejszy oraz stosowną opłatą. Człowiek ten miał jednak twarz nalaną i czerwoną oraz małe, tzw. świdrujące oczka — jak to z niechęcią opisuje dziennikarka „Rzeczpospolitej”, zwana zresztą przez kolegów „czarnym charakterem” — głównie z powodu koloru oczu i włosów. Mimo wszystko Lubelskie Zakłady Graficzne A. Szczuka prezentowały w mieście szczyty techniki drukarskiej. Inne i nieliczne zakłady dysponowały maszynami płaskimi, „na korbkie”, o których wydajności nie ma co wspominać. Dodajmy, że Niemcy zlikwidowali wcześniej 13 drukarenek żydowskich i kilka polskich. Poza interesem przy ul. Zamojskiej 12, stosunkowo dobre wyposażenie posiadały jeszcze Zakłady Graficzne J. Pietrzykowskiego przy ul. Kościuszki, która w okresie międzywojennym skupiała większość redakcji lubelskich, oraz „Drukarnia Popularna” przy ul. Zmięród. Pierwszą drukarnię państwową uruchomiono późną jesienią przy ul. Zamojskiej 24, w następstwie powołania Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”.

Z papierem także było krucho. Rezultaty samochodowych i lotniczych wypraw do Łukowa, Rzeszowa, Siedlec czy Zamościa łagodziły nieco trudności z zaopatrzeniem w ten cenny materiał, lecz działania tego rodzaju nie były w stanie odebrać czytelnikom ciekawych niespodzianek kolorystyczno-fakturalnych. Czasami trafiał do ich rąk zadrukowany papier pakowy, to znów tygodnik „Wies” z numeru na numer zmieniał barwę z niebieskiej na szaro-żółtą.

Oczywiście, brakowało również fachowców. „Czy pan(i) chciałby(aby) pracować w redakcji?” — tymi słowami zaczepiano ludzi na schodach gmachu przy Krakowskim Przedmieściu 62, w którym panował J. Borejsza, werbując ich do dziennikarstwa. Niejeden z uwiedzionych do dziś pracuje w prasie.

I w takich oto warunkach, sprzyjających raczej ascezie niż dziennikarstwu, w bezpośredniej bliskości frontu, który na kilka miesięcy utknął nad Wisłą — w drugiej połowie 1944 roku pojawiło się nagle w Lublinie kilkanaście tytułów gazet i czasopism! Wymienimy niektóre, w kolejności narodzin: „Rzeczpospolita” — organ PKWN, „Gazeta Lubelska” — Niezależny Organ Demokratyczny, „Wici” — organ ZMW RP, „Odrodzenie” — tygodnik literacki, „Barykada Wolności” — tygodnik polityczny PPS, „Zielony Sztandar” — naczelną organ Stronnictwa Ludowego, „Stańczyk” — tygodnik satyryczny, „Lubelski Dziennik Wojewódzki” — mie-

sięcznik, „Wies” — tygodnik, „Robotnik” — organ PPS, „Walka Młodych” — organ ZWM, „Głos Ludu” — organ KC PPR... Ogółem w okresie „Polski lubelskiej” na wyzwolonych terenach kraju ukazywały się 42 gazety i czasopisma, nie licząc kilku wydawnictw wojskowych.

Jak wytłumaczyć ów fenomen prasowy, jak racjonalizować zjawisko, które na pierwszy rzut oka wydaje się bodaj czy nie irracjonalne, niezgodne z materialnym porządkiem lipcowej rzeczywistości? Wyjaśnieniu zagadki nie sprzyja fakt krzepkiej egzystencji większości z tych wydawnictw, taka „Rzeczpospolita” dobiła do 100 tysięcy egzemplarzy nakładu, „Głos Ludu” — powołany dopiero przy końcu listopada, w momencie pewnego nasycenia rynku czytelniczego — z miejsca osiągnął 25 tysięcy, a „Gazeta Lubelska” zbliżyła się do 30 tysięcy... Na owe czasy były to nakłady bardzo wysokie. A zatem: gdzie tkwiły źródła tego zjawiska?

Gazety nie szukały wówczas czytelników, Drugi numer „Rzeczpospolitej”, sprzedawany przez Borejszę w drzwiach drukarni, wydzierano sobie z rąk. Po latach milczenia z konieczności, w 1944 roku Polacy mogli wreszcie swobodnie włączyć ojęzycznym językiem, wymieniać poglądy i opinie na tematy, które do niedawna otaczały okupacyjne tabu. Początkowo fascynował sam dźwięk polszczyzny, co spowodowało tak wielkie i niekłamane zainteresowanie np. teatrem — bez względu na poziom artystyczny przeróżnych trup objazdowych. Podobnie działało słowo drukowane. Gazeta była jednak przede wszystkim głównym środkiem przekazu informacji, zasięg radia ograniczała niewielka moc nadajników oraz brak odbiorników. A działały się rzeczy ważne, decydujące o przyszłości państwa i narodu: trwała wojna, PKWN przystępował do realizacji reform ustrojowych. Przemiany o wymiarze historycznym profilowały zawartość dzienników

„RZECZPOSPOLITA” DAŁA POCZĄTEK...

Sily lewicowe, czy szerzej — demokratyczne, zjednoczone w praktyce wokół Manifestu PKWN zachowały przecież partyjną odrębność, która przejawiała się również w odmiennej perspektywie widzenia niektórych celów ideologicznych. Równolegle działały stronnictwa polityczne o bardziej umiarkowanym programie przeobrażeń społecznych i gospodarczych. Istniały organizacje młodzieżowe, które z natury rzeczy musiały operować frazeologią dostosowaną do słuchu swojego pokolenia, innego w mieście i na wsi... Taki model życia politycznego implikował różnicowanie i liczebność organów prasowych, które w tym czasie występowały w roli jedynych środków propagandy szerokiego zasięgu, co przydawało im szczególnego znaczenia. Zrozumiałe więc, że mimo ogromnych trudności materialnych i kadrowych, prasa rozwijała się wyjątkowo dynamicznie. Dodajmy, że właściwie każdy, kto dysponował odpowiednimi środkami i respektował program demokracji, mógł wydawać własne pismo. Przykładem periodyku „Orlim Słazkiem”, prywatny organ o charakterze dewocyjnym.

i czasopism, tzw. kolumny miejskie w gazetach oraz działy sportowe były bardzo skromne. Drobne ogłoszenia typu „kupno — sprzedaż — cudowna maść na porost włosów” zamieszczała początkowo tylko „Rzeczpospolita”. W numerze z 11 września znajdujemy taki oto inserat: „Jak pisać — według obowiązującej pisowni — uczy nowo wydany słownik ortograficzny zawierający około 16 000 wyrazów. Do nabycia w księgarniach lub w sekretariacie Korespondencyjnych Kursów, Lublin, Narutowicza 37, II piętro”. Prasa 1944 roku pełniła funkcje informacyjne, propagandowe, dydaktyczne (gazety służyły często jako czytanki szkolne) i — w sensie narodowym — integrujące. Ogólną tonację publicystyki gazetej tamtego okresu wyjątkowo trafnie scharakteryzowała dziennikarka „Rzeczpospolitej”: „powszechne było dążenie do jakiejś Polski nowej, lepszej i czystszej niż tamta przedwrześniowa, choć u wielu ludzi było to często dążenie mgliste, nieokreślone”.

Pisali i redagowali gazety ludzie o różnych biografiiach politycznych, których dla nowej sprawy

Na lubelskiej fali

Tadeusz Tluczkiewicz

W LIPCOWE Święto Polskie Radio Lublin będzie obchodziło swój mały jubileusz — X-lecie osiedlenia w pięknym pomieszczeniach rozgłoszających z pięcioma studiami, z reżyseriami, wyposażonymi w zupełnie przyzwoite sprzęt techniczny, z pokojami redakcyjnymi, jakich bratnie lubelskie redakcje mogą nam pozazdrościć — i jak wieść niesie — będą zazdrościli tak długo jeszcze, póki nie stanie w Lublinie prawie już legendarne „Centrum Prasowe”.

Ciągle Lubelska Rozgłoszonia jest właśnie jednym w naszym mieście obiektem, umieszczanym w jednych sprawozdaniach w rozdziale „kultura”, w innych — „środki masowego przekazu”, — jedynym wybudowanym z myślą o potrzebach jutra, nie tylko dnia dzisiejszego. I to właśnie przewidywanie przyszłych potrzeb, ta przeczność autorów projektu gmachu rozgłoszonia w wybieganiu myślą i kreślarskim ołówkiem do lat, które nadejdą, sprawia nam, radiowcom, czasami trochę kłopotu. Bo nie często się zdarza nam słyszeć pytanie: „jak wy ten program radiowy robicie?”, natomiast znacznie częściej zapytują nas zniecierpliwieni: „a co wy właściwie w tych studiach robicie?”. Na dobrą sprawę oba pytania są ważne i na oba warto odpowiedzieć.

Otóż — jak my ten program robimy? Właściwie — sami nie wiemy. Poza jednym: że 1095 godzin programu lokalnego, to jest przecięt-

nie 3 godziny dziennie, przygotowuje zespół dziennikarski liczący 19 osób, zespół średnio o jedną trzecią mniej liczny niż przygotowujący taki sam program „stare”, tradycyjne rozgłoszonia w Bydgoszczy, Łodzi, Gdańsku, Szczecinie. Tenże sam zespół przygotowuje średnio w roku około 300 godzin audycji dla wszystkich trzech programów centralnych, ogólnopolskich — bez chwaleń, albo tyle samo albo więcej (przeważnie więcej) od rozgłoszonia wymienionych wyżej.

A teraz: „co wy tam właściwie w tych studiach robicie?”. Ogólnie mówiąc — nagrywamy audycje, z tym, że nie jest to odpowiedź pełna, ponieważ w tak zwanym podtekście pytania zawarta jest na ogół wątpliwość, czy nasze studyjne „moce przerobowe” wykorzystywane są w stopniu dostatecznym? Otóż — oczywiście mówiąc — nie są wykorzystywane, chociaż stają się, w coraz pełniejszym stopniu.

A dlaczego nie są? Bo studio radiowe to nie sala kinowa: ten sam film, byle dobry, można wyświetlać całymi dniami i wieczorami, z kwadransem przerwy na wyświetlenie sali, w radiowym studio, szczególnie muzycznym, dużym, przygotowanie zespołu do nagrania trwa godziny i dni, samo nagranie jednego utworu — może się ciągnąć godzinami, bo poprawki, bo korzystniejsze, dla ostatecznego efektu nagrania, ustawienie instrumentów, bo akustyka i tak dalej i tak dalej. Ale tu przecież nie o wyjaśnianie, nie o tłumaczenia chodzi, lecz o to, co robimy. W paru słowach: w programie muzycznym

co do znacznie większego procentu nadawanych utworów — to muzyka oryginalna, własnych, lubelskich zespołów, naszych lubelskich chórów, instrumentalistów i wokalistów. Zespół „Budka suflera” w pełni „ujawniony” dzięki „Radiowym gieldom piosenek” — trochę po maozemu traktowany przez wszystkich lepiej wiedzających recenzentów zyskał już uznanie i „chadza” w centralnym programie radiowym. Piosenka Bogdana Gajkowskiego „Złoty helikopter” (obecnie słowo, powinno być: śmigłowiec) — cokolwiek by o niej mówiono — stała się radiowym przebojem. Kilka innych utworów i piosenek zakwalifikowano do programu polskiego festiwalu. Okazuje się coraz wyraźniej, że Lubelskie, to nie tylko kapela braci Bzdziuchów i Namysłowiaczy, nie tylko „Dęta — Garnizonowa”, ale także rozrywkowa, współczesna, całkiem na poziomie.

„Lubelskie Studio Kameralne” z muzyką poważną, także — mamy nadzieję — zyska rangę imprezy poważanej w mieście, imprezy, na którą warto pójść, nie uważając czasu za stracony.

Lokalny program radiowy — to rzecz jasna, nie tylko muzyka. Dość znane w radiowym kręgu określenie „Lubelski reportaż radiowy” zawiera sporo uzasadnienia, poparte wcale bogatym dorobkiem naszych reportażystów w ogólnopolskich konkursach. Właśnie dźwiękowym reportażem, autentycznym głosem robotnika na budowie, młodego technika z fabryki, racjonalizatora, przodującego rolnika —

staraliśmy się mówić, ucząc szacunku dla rzetelnej roboty, dla poczucia obywatelskiej odpowiedzialności. Wydaje nam się również, że nasz codzienny serwis informacyjny jest dość sprawny i rzetelny: rzecz ciekawa, wydarzenie sporej rangi z dnia dzisiejszego — musi się w tym samym dniu ukazać na lubelskiej antenie w formie dźwiękowej relacji.

Zresztą bogactwo wydarzeń dnia dzisiejszego Lublina i województwa, perspektywy rozwojowe lubelskiego regionu są tak szerokie i obejmujące wszystkie dziedziny życia, że radiowy dziennikarz nie musi się specjalnie trudzić w wyszukiwaniu tematów godnych przekazywania słuchaczom. A kontakt ze słuchaczami? Setki, całe setki i paki listów są potwierdzeniem istnienia tego kontaktu.

Najbliższa przyszłość lubelskiego programu radiowego: poza stereofonią (muzyka nadawana techniką stereofoniczną) nadal dużo programu na zakresie fal ultrakrótkich, zapewniających dobry odbiór. W programie publicystycznym — Trzydziestolecie, a przed Lipcowym Świętem (zamiaszt jubileuszu X-lecia „Osiedlin”) — w dniu 8 lipca kilkanaście audycji w I i II centralnym programie radiowym, emitowanym z lubelskiego studia i przez lubelską radiostację. Dalej: Redakcja Programów Telewizyjnych, która uzupełni pracę naszego korespondenta Dziennika TV. Jeszcze trochę dalej: Lubelski Ośrodek Telewizyjny. Sprawa realna.



Dokończenie ze str. 1

mer „Kameny” z artykułem redakcyjnego kolegi, I. J. Kamińskiego: „Zakopiańskie ucho prezesa” traktującym o problemach Zakopanego jako organizmu miejskiego, ale równocześnie zatracającym o sprawę dewastacji tatrzańskich przyrody. Niemal cztery i pół tysiąca zakopiańskich posesji — pisze Kamiński — spala rocznie ponad 50 tys. ton węgla i koks, doprawiając górskie powietrze tlenkiem węgla i czteroetylenkiem ołowiu. Dymią Zakłady Mięsne przy Krupówkach, smrodzą samochody, więc wymierają zwierki wzdłuż ulic. W 40 km. potoków górskich, przepływających przez Zakopane, niemal wyginęło życie biologiczne.

Na Tatry i Zakopane panuje coraz większa moda, w Tatry musi pojechać każdy szanujący się Polak niczym muzułmanin do Mekki. W ostatnich kilkunastu latach postawili ludzie w Zakopanem około 1300 prywatnych domków (z myślą o kwaterach dla turystów — przyp. M. D.) nazywając je dla niepoznaki jednorodzinymi — stwierdza dziennikarz. A ile takich domków pobudowano w okolicach Zakopanego? Od Szaflar po Zakopane wzdłuż szosy ciągnie się wielki plac budowy: jedna przy drugiej stoją monstrualne, czterokondygnacyjne „wille” obliczone na upchanie w nich „miłośników Tatr” jak śledzi w beczce. Co z tego wszystkiego wyniknie w ciągu kilku najbliższych lat?

W 1870 r. dr Tytus Chalubiński rozpoczął systematyczną akcję na rzecz spopularyzowania Zakopanego i Tatr. Liczba letników na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia przekroczyła w Zakopanem dwa tysiące, pod koniec dziesięciolecia było ich już ponad dziesięć tysięcy. W końcu lat trzydziestych XX w., kiedy Zakopane ustaliło swoją pozycję „zimowej stolicy Polski”, notowano rocznie 50 tys. letników i turystów. Ale prawdziwy najazd na Tatry przyniosły dopiero lata powojenne. W 1955 r. liczba turystów wzrosła do 600 tysięcy! W niespełna dwadzieścia lat później, w Tatry przyjeżdża 3 miliony ludzi i widać stałą tendencję zwyżkową!

Od lat pisze się, że Zakopane nie jest absolutnie przygotowane na przyjęcie takiej masy ludzi, i że władze miejskie stają na głowie żeby sprostać sytuacji. Ale wciąż za mało mówi się o tym, że napór turystów i narciarzy nie wytrzymują przede wszystkim same Tatry.

Polskie Tatry — jedyny w naszym kraju obszar przyrody wysokogórskiej — mają zaledwie 175 km kwadratowych. Pięć razy mniej niż Tatry Słowackie! Równo dwadzieścia lat temu powołano do życia Tatrzański Park Narodowy obejmujący cały obszar Polskich Tatr, właśnie ze względu na ich bezcenne walory przyrodnicze. Na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego działa 20 organizacji naukowych, które prowadzą 100 prac naukowych,

Zadepczemy Tatry!

przeważnie o charakterze długofalowym. Od 1945 r. do 1973 r. opublikowano ok. 750 prac naukowych dotyczących Tatr i Parku. Bibliografia tatrzańska przekracza 21 tysięcy pozycji.

Tatrzański Park Narodowy powstał w celu ochrony i zachowania w możliwie nieskażonym stanie tutejszej przyrody, rozumianej jako skarb narodo-



wy. Ale, jak wiadomo, właśnie Tatrzański Park Narodowy to teren, jaki upodobała sobie cała Polska: narciarze, turyści, wczasowicze, wycieczki zakładowe i wycieczki szkolne. Tatry zaczynają niebezpiecznie uginać się pod tą lawiną przybyszów. Szlakami, którymi przed wojną przechodziło 50 osób dziennie, dzisiaj przechodzi tysiąc.

Dyrekcja Parku zleciła ostatnio Polskiej Akademii Nauk przeprowadzenie badań na temat szczytowej pojemności Tatr. Choć prace nie zostały jeszcze zakończone, już w tej chwili wiadomo, że na wielu popularnych trasach jak wejście na Giewont, droga z Kasprowego na Świnicę czy przejście przez Zawrat, w niektóre dni bywa przekroczona pojemność szlaków turystycznych. Nie należą do specjalnych wyjątków letnie dni, kiedy w Tatrach znajduje się 18—19 tys. turystów. Swoisty rekord padł w ubiegłym roku: w dniu Święta Lip-

cowego do Morskiego Oka przyjechało 40 tysięcy osób. Na szosie od Lysej Polany po Włosienicę utworzył się gigantyczny korek samochodowy, którego przez kilkanaście godzin żadne ludzkie siły nie były zdolne zlikwidować.

Zbudowana w 1937 r. kolejka linowa na Kasprowy Wierch (wówczas głównie z myślą o narciarzach) kursująca przez niemal cały rok, może przewieźć dziennie 1800 osób, które następnie schodzą stokami górskimi na dół. Skutek tego jest taki, że w licznych miejscach na Kasprowym Wierchu zdarta została całkowicie gleba naniesiona tutaj przez całe tysiąclecie.

Zimą w Kotle Gąsienicowym tysiące narciarzy ubijają nartami śnieg, który zamienia się w twarzą, zlodowaciałą skorupę bardzo trudno topniejącą. Przez dłuższe niż normalnie zaleganie śniegu okres wegetacji w tym rejonie skrócił się o jedną trzecią, a to wyeliminowało z życia cały szereg roślin.

Na Suchoj Kasprowej, w rejonie Kasprowego Wierchu, z biegiem lat utworzył się gigantyczny „śmietnik”. Można tu znaleźć prawie wszystko: od starych kawałków lin kolejki, poprzez zardzewiałe niemieckie helmy, na szczątkach urządzeń wyciągu krzeselkowego kończąc. Koszty „zregenerowania” rejonu Kasprowego Wierchu wyniosłyby ok. 200 milionów zł.

Tatry przestały być zakątkiem kraju, do którego uciekało się dla znalezienia spokoju i ciszy. Z Tatr uciekają dzisiaj przed ludźmi zwierzęta. Po górach chyłkiem przemykają się ostatnie dwa niedźwiedzie. Jeszcze kilkanaście lat temu było ich 10—12 — i jak powiada zastępca dyrektora Parku, inż. Zembrzuski, możemy mieć całkowitą pewność, że za naszego życia niedźwiedzie znikną z polskich Tatr całkowicie.

Wyprowadzając w 1960 r. z Tatr owce, kierownictwo Tatrzańskiego Parku Narodowego ludziło się nadzieją, że wpłynęło to na zwiększenie pogłowia kozic górskich. Nic z tego. Wprawdzie tatrzańska roślinność przestała być pożerana przez owce (co swego czasu doprowadziło do zniszczenia wielkiej partii kosodrzewiny i obniżenia linii lasów o 20 m), ale kozice nadal wynoszą się do Słowacji: tym razem przed ludźmi. Tymczasem tu i ówdzie podnoszą się głosy, aby owce znowu wróciły w Tatry. Wiadomość wywołała popłoch po słowackiej stronie Tatr, gdzie obecność owiec na halach uważa się również za jedno z największych zagrożeń przyrody.

Liga Ochrony Przyrody w Zakopanem bije na alarm: *Przedstawiany przez władze administracyjne program (zagospodarowania niektórych terenów Parku — przyp. M. D.) przekreśla istnienie Parku Narodowego jako parku przyrodniczego, dostępnego dla turystyki kwalifikowanej a stwarza warunki do powstania parku sportu, masowej turystyki i gospodarczego wykorzystania terenu.*

ARCHEOLOGIA

TERMIN „archeologia przemysłowa” nie został wymyślony dla użytku „Kameny”. Zaczepnięto go z periodyku UNESCO „Museum”, w którym Frank Atkinson tak określił pewne działania podejmowane w Wielkiej Brytanii. Kraj pierwszej w świecie rewolucji przemysłowej pierwszy zrodził powszechne, indywidualne i zbiorowe, działania na rzecz ochrony zabytków techniki. Powszechne, bo odbiegające od muzealno-reklamowych instytucji w rodzaju Henry Ford Museum w Dearborn, czy muzeum, a zarazem restauracja i salon sprzedaży Renaulta na Champs Elysées. Tendencja ta znacznie też przekracza zainteresowania specjalistycznych placówek profesjonalnych.

Dlaczego właśnie „archeologia” — przy tak małej odległości w czasie? Chyba dlatego, że tempo rozwoju cywilizacji technicznej coraz bezwzględniej postarza dokonania przemysłowe, spychając je w zamierzchłą przeszłość. Jeżeli mierzyć czas liczbą zawartych w nim faktów technicznych, minione sto lat będzie dłuższe niż dawniej tysiąclecie. I jeszcze dlatego archeologia, że rygory kasacji starego parku maszynowego, jakie niesie ze sobą postęp techniczny, czynią wysiłki poszukiwaczy wiadomości zabytków podobnymi badaniami kultur pierwotnych.

Ochrona zabytków techniki w Polsce jest dotychczas wyłącznie troską specjali-

stycznych muzeów — nielicznych, o ograniczonych możliwościach działania. Dość przypomnieć, że każde z nich — czy to ogólnotechniczne (jak Muzeum Techniki NOT w Warszawie), czy specjalistyczne (jak Muzeum Lotnictwa w Krakowie) — obejmuje teren całego kraju, z konieczności zajmując się najważniejszymi zjawiskami z pominięciem problematyki regionalnej. Poza tym brak jest kadry w tej dziedzinie (Wojewódzki Konserwator Zabytków w Lublinie chętnie zatrudniłby takiego specjalistę), a muzealia wymagają znacznych przestrzeni dla ich przechowywania, ekspozycji i konserwacji, co także hamuje rozwój tych instytucji.

Trwająca segregacja zainteresowań muzeów, która problematykę techniczną pozostawia wyłącznie placówkom specjalistycznym, ma w sobie coś anachronicznego. Podtrzymuje poglądy z dość odległych już lat, gdy maszyna i jej produkt były tematyką co najmniej dziwną dla muzealnictwa i konserwatorstwa. Dziś nikt nie kwestionuje potrzeby ochrony zabytków techniki, ale segregacja trwa! Czy jednak technikę, będącą kulturą materialną naszych czasów, można wypręparować z

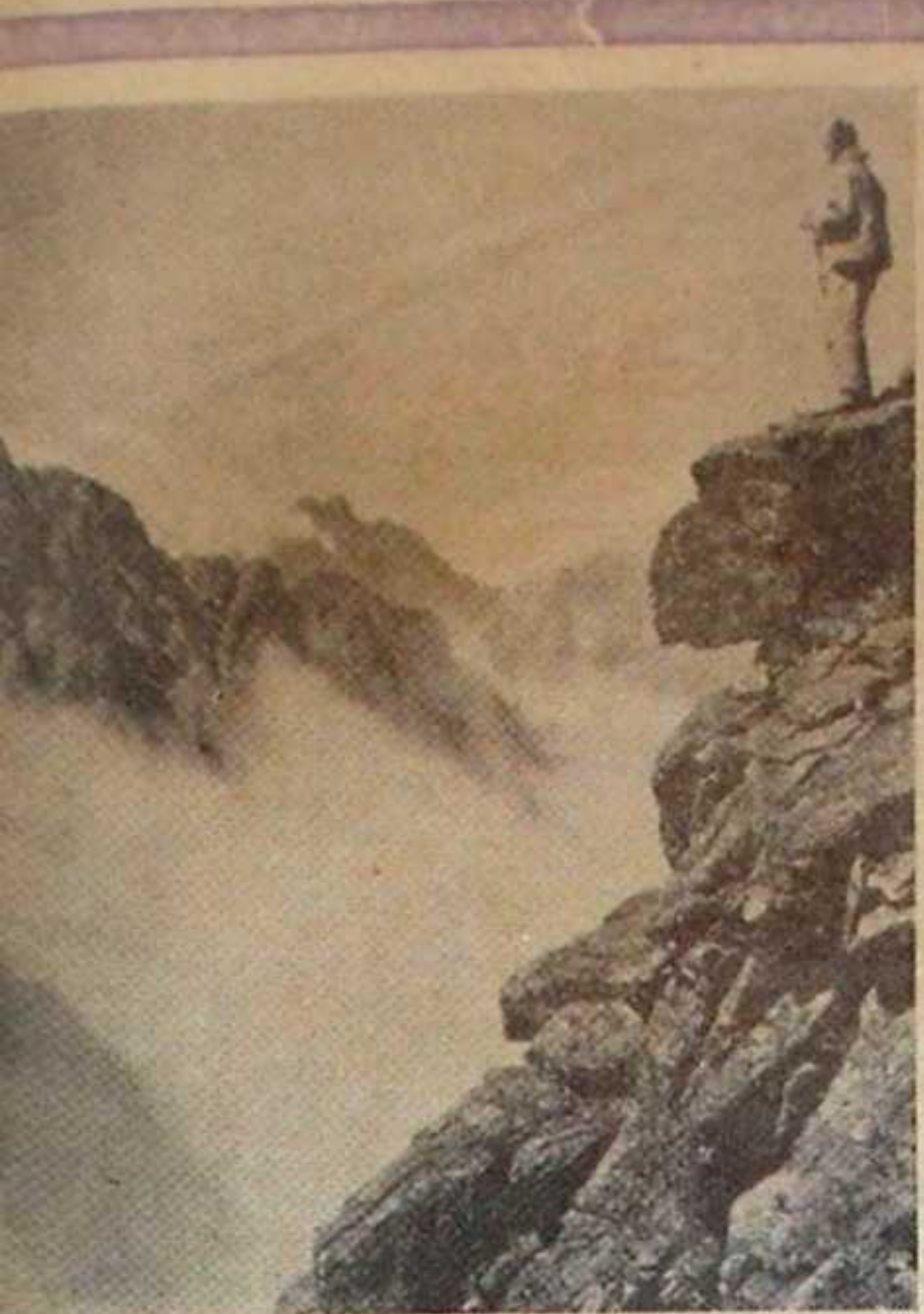
historii jako całości? Jak działają historyczne muzeów, mające za pomocą konkretnych przedmiotów (a nie fotokopii i reprodukcji kserograficznych) ilustrować proces dziejowy, przedstawiają historię regionu w naszych czasach bez maszyny i jej produktu?

Grozi nam bardzo paradoksalna sytuacja. Liczne muzea różnej rangi dysponować będą zasobem eksponatów pełniej obrazującym kulturę materialną społeczeństwa pierwotnego i feudalnego, niż o ile bogatsze i bardziej zróżnicowane przejawy cywilizacji przemysłowej. Przyczyną jest właśnie uważanie, że składnikiem kultury jest twór artystyczny. Dopuściliśmy do tego pojęcia również kulturę materialną i to niemal wyłącznie tę, którą zajmuje się archeologia (nieprzemysłowa) i etnografia. Opierając się na dydaktyce muzealnej można odnieść wrażenie, że rozwój techniki zakończył się na ludowym warsztacie tkackim i kole garnca.

Zabytki najdawniejszej historii czekają pod powierzchnią ziemi na archeologów; dzieła sztuki, które jeszcze nie dotarły do muzeów, chronione są przez ich posiadaczy

Jeśli nie dla walorów artystycznych, przynajmniej dla wartości finansowej; zabytki kultury ludowej przetrwały w terenie do naszych czasów na skutek powolnych zmian zachodzących na wsi i dopiero nadszedł czas nagłego do szybkiego zakończenia poszukiwań. W dziedzinie techniki następuje coraz szybsza rotacja sprzętu, po której zostają się egzemplarze przypadkowe, nie zawsze najistotniejsze. Sięgnijmy do przykładów samochodowych, które sprowokowały te myśli. Historyczny „Marmon” z 1919 roku (stary prezydentowi Wojciechowskiemu), który rejs wodził w paradach „weteranów” w początkach lat sześćdziesiątych, podobnie doczekał się sprzedaży za granicą. Wspomniany kabriolet „Maybach Zeppelin” z 1934 roku, który był rekwizytem w warszawskich epizodach filmu „Noc generałów”, wywieziony został przez ekipę realizatorów. A obydwie wozy są prawdziwymi rytasami na światowym rynku antykwaryjskim.

„Rajd weteranów szos” zorganizowany przez „Kurier Lubelski” i Automobilklub Lubelski, można chyba zarządzić w naszym województwie z zaci-



Zdjęcia z albumu „Tatry” K. SAYSSE — Tobliczka

Skąd te gorzkie słowa? Oto — według tego, co twierdzi LOP — szykuje się prawdziwy zamach na Tatry, a zamach ten szykowany jest przede wszystkim przez narciarzy. W planach władz administracyjnych przewiduje się wydzielenie centrum Tatr od Krokwi po Swinię dla stworzenia wielkiej bazy narciarskiej. Na Krokwi miałyby być zbudowane nowe nartostrady, tory bobslejowe, slalomowe. Wyciągi na Beskid, Kopę Magury, Uhrocie Kasprowe, Mały Kościelec. Nowe nartostrady przez Uhrocie, Karczmisko ku Olezyskiej, z Kotła Gąsienicowego ku Kuźnicom... Trzeba przy tym wziąć pod uwagę, że wiąże się z tym konieczność wzniesienia urządzeń dla obsługi wyciągów i że nartostrady mają mieć szerokość 25—60 m dla bezpieczeństwa narciarzy.

Zamierzone inwestycje — twierdzą działacze Ligi Ochrony Przyrody — objęłyby około 4 tysiące ha terenów Tatrzańskiego Parku Narodowego i wymagałyby wycięcia co najmniej 120 ha lasów i 90 ha kosodrzewiny, co spowodowałoby w przyszłości głęboką erozję stoków, wyniszczenie wszelkiej roślinności pod i wokół zabudowy sportowej oraz wprowadziłoby tysiące ludzi wraz z ich potrzebami w nadzwyczaj wrażliwe wysokogórskie środowisko. Ale jakie to ma znaczenie dla narciarzy! Istnieje wszak projekt urządzenia w rejonie zaciśniętej doliny Doliny Chochołowskiej obiektu narciarskiego w rodzaju Kasprowego Wierchu. W przyszłości, przy pełnym „rozruchu”, na Kasprowym Wierchu jeździłoby dziennie 7 tysięcy narciarzy, a w rejonie Doliny Chochołowskiej — 6 tysięcy!

W końcu, dlaczego niby dziwić się narciarzom, skoro taka instytucja jak Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, posiadające przecież ogromne zasługi w dziedzinie krzewienia kultury tatrzańskiej, zaczyna powoli przechodzić na stronę zadeptywaczy Tatr. Już nie chodzi o fakt, że od dawna PTTK-owskie schroniska wysokogórskie przekształcają się w rodzaj domów wczasowych, że kierownicy schronisk najchętniej widzą duże, zorganizowane grupy zamieszkujące w schronisku przez kilka dni. Ale oto od pewnego czasu dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego odiera ataki mające na celu wydebienie od niej zgody na wybudowanie drogi wzdłuż całej Doliny Kościeliskiej, od Kir aż po Halę Ornak. Kierownictwo schroniska PTTK na Hali Ornak twierdzi bowiem uparcie, że dotychczasowy sposób wywożenia nieczyściwości ze schroniska przy pomocy zaprzęgów konnych jest przestarzały i niewygodny, i że o wiele prościej byłoby wykorzystać w tym celu samochody asenizacyjne. Niby prawda. Tylko, że po pierwsze — należałoby wtedy zbudować na trasie 12 betonowych mostków, po drugie — taka droga zohydziłaby piękno Doliny, po trzecie wreszcie — żadna siła nie powstrzymałaby właścicieli prywatnych samochodów i autokarów z wycieczkami do wtargnięcia do Doliny Kościeliskiej.

Dolina Kościeliska prawdopodobnie obroni się. Ale czy obronią się Kalatówki i Hala Gąsienicowa przed doprowadzeniem tam wygodnych dróg asfaltowych? Co będzie za lat kilkanaście, kiedy pół Polski dosiadzie małowrażliwych samochodów Fiat 126 P i zapragnie wjechać nimi na... Kasprowy albo na Kozie Wierchy? Jakże będzie wówczas zdanie wielu instytucji i „czynników”, które już dzisiaj widzą w Lidze Ochrony Przyrody i kierownictwie Tatrzańskiego Parku Narodowego — „bastion obskurantyzmu”?

Tymczasem owi „obskuranci” uporczywie lansują hasło: „NIE TYLKO ZAKOPANE”, proponując cały szereg rozwiązań, które pozwoliłyby statystycznemu Polakowi obcować z górską przyrodą nie konieczne rozdeptując przy okazji Tatry. Ale to już temat na osobny artykuł.

Mirosław Derecki

Kazimierz Andrzej Jaworski

OBŁOKI I OPOKA

Pisałem w jednym wierszu przed dziesięciu laty: „Milsze zawsze mi będą wędrowne obłoki nad niezawodny stopom twardy grunt opoki”. Pisałem to, gdy jeszcze huczały armaty, gdy pod nogami ziemia nie była „opoką twardą i niezawodną”, a lepką posoką zlaną w męce ginęli z narodu najlepsi.

Pisałem tak, niedawno sam wyrwany kaźni, śmierci w oczy patrzący przez długie miesiące, niewolnik za drutami, gdy piecące gorące czekały na paliwo, dym z ciał ludzkich buchał urągając okrutnej Goyi wyobraźni.

Wiem, krztusząc się wolnością, deklarując: jestem, witając lot obłoków, rzuciłem z protestem te słowa, ale protest był to pięknoducha.

Gdy genialny młodzieniec domagał się skrzydeł, nie zamierzał uciekać ku lotnym obłokom, lecz chciał nad martwym światem unieść się wysoko, by z góry objąć wzrokiem całą jego krzywdę, a potem zburzyć wszelkie spleśniałe zapory i pchnąć wraz z przyjaciółmi go na nowe tory.

Dzisiaj jak wtedy odczuwam widm obłocznych kształty, strzępiące się o Tatry, lecące nad Bałtyk, lecz czuję pod nogami twardy opór gruntu i stojąc na opoce wiem, że trzeba buntu.

Opoka, ale jaka? Nędzna jałowizna, poszarpana lejami i krwią użyżniona, by się bujnie rozkrzewić na niej mogły osty, czy zielona, kwitnąca dla wszystkich ojczyzna, co dzieci swe jak matka przytula do łona i wita je uśmiechem radosnym i prostym?

Opoka, ale jaka? Opięta drutami, zza których wycierają białych widm oblicza, niewolników, co jęczą pod smaganiem bicia, gdy ten karki i dusze im przy pracy łamie, aby brzuchy oprawcom pęczniały bez trudu?

Czy też przestrzeń otwarta, każdemu dostępna, gdzie w pracy dobrowolnej dzień za dniem się spiętrza w radosnym przeświadczeniu, że jej plon dla ludu?

A gdy już przeorzemy opokę oporną, że każdemu obrodzi chlebem i pokojem, wtedy kiedyś w pogodną godzinę wieczorną wiem, że sięgnie robotnik po te wiersze moje, a potem spojrzy nagle w nieba strop wysoki i szepnie: „Jakie piękne płyną tam obłoki!”

Z I tomu „Pism”

PRZEMYSŁOWA

Mieczysław Kurzątkowski

Kłęb ruchu społecznego na rzecz ochrony zabytków techniki, z objawem muzealnego hobby, które jest nie tylko zbieractwem, lecz wyładowaniem pasji politechnicznych...

W Wielkiej Brytanii, posiadającej rozwinięte muzealnictwo techniczne, działalność społeczna sponzorowana została swego rodzaju konfliktem między placówkami profesjonalnymi a amatorami. Muzeum stwarza dystans między zwiedzającym a eksponatem. O ile dzieło sztuki daje satysfakcję na poziomie kontaktu wzrokowego, prawdziwy miłośnik techniki chce mieć z maszyną kontakt bezpośredni. W Anglii ludzie zamożni i dysponujący terenem, kolekcjonują na własną rękę: farmer spod Riding Mill (Northumbria) posiada 40 świetnie zakonserwowanych starych traktorów, rolnik z Kornwalii (koło Redruth) zezwala bezpłatnie zwiedzać parcelę zastawioną pojazdami konnymi, narzędziami rolniczymi i lokomobilami. Mniej zasobni zrzeszają się. Festiniog Railway Society (Walia) utrzymuje sieć kolei wąskotorowych, która jest najstarsza na świecie koleją o tym rozstawie; liczba pasażerów przekracza 500 tys. rocznie. Museum of the Tramway Society w Crich (Derbyshire) w wyniku działań wyłącznie społecznych zgromadziło 50 tramwajów, które na specjalnie przygotowanym terenie kursują podczas weekendów i w miesiącach letnich.

tuja eksponaty. Inwentaryzują je, klasyfikują i katalogują. Chyba jest to jedyna realna i słuszną drogą muzealnictwa przemysłowego. Technika rozrasta się w zbyt wiele dziedzin, by dla każdej można było mieć własny wyspecjalizowany personel muzealny.

Można spodziewać się zarzutu przeceniania sprawy „weteranów szos”, argumentów, że nie są to produkty polskiego przemysłu, że znalezienie się w naszym województwie takiego a nie innego modelu jest kwestią czystego przypadku. Tak, ale czy większość dzieł sztuki obecnej nie znalazła się w danym muzeum też w drodze przypadku? Może wobec tego zestawienie samochodu z dziełem sztuki jest nie na miejscu? Przypomnijmy zatem, że jest on „małą architekturą” naszego krajobrazu, szczególnie miejskiego, a jego kształt (szczególnie z okresu klasycznego 1931—1948) można już rozpatrywać w kategoriach sztuki użytkowej. A warto przy tym zaznaczyć, że wśród projektantów karoserii obok takich zawodowych stylistów, jak Pinin Farina czy Henri Chapron, figuruje też twórca Bauhausu — Walter Gropius, autor szeregu nadwozi dla Adlera. Jeżeli poza tym seryjna karoseria

BMW 327 z 1938 roku uznawana jest za nadwozie o nieprzemijającej piękności („zeitlos schön”), mimo zasadniczych zmian jakie nastąpiły w ukształtowaniu samochodu, jest to już zagadnienie, do którego należy przystąpić nie tylko kategorie estetyki wzornictwa przemysłowego.

Ale i dla historii techniki krajowej rozpowszechnienie „archeologii przemysłowej” może dać istotne efekty. Może na zagraconym podwórzu lub gdzieś w stopie drzewie jeden z modeli polskich samochodów międzywojennych, uważany za bezpowrotnie zaginiony? Podobnie jak znalezione przypadkiem w łukowskiej wsi egzemplarz motocykla „Moj”... Warto zwrócić uwagę nawet na wraki, bo a nuż jakieś zrzeżelowane nadwozie, służące za kurnik lub skład narzędzi ogrodniczych, okazy się karoseria wykonana przez Lubelskie Zakłady Mechaniczne Plage i Lańkiewicza? A warto zaznaczyć, że firma ta produkowała jedne z pierwszych na świecie nadwozi typu zamkniętego, tak zwane wówczas „conduite interieure”, z pochylą szybą przednią.

Samochody są tu właściwie tylko sygnałem wywoławczym. Równie dobrze można mówić o maszynach rolniczych czy wagach z lubelskich fabryk, lokomobilach, które stoją gdzieś gdzieś porzucone, parowych walcach drogowych. Ruch społeczny najle-

piej czuje się w dziedzinach nieopanowanych jeszcze przez działalność zetatyzowaną, gdzie w pełni uzyskuje potwierdzenie przydatności swego działania. Taką domeną jest właśnie „archeologia przemysłowa”.



Zasada z OM Kraków na BMW-327 jeszcze raz udowodnił, że jest jednym z czołowych nadwoziowych kierowców samochodowych. Fot. Archiwum

PISALEM przed miesiącem, że dobrze jest, gdy miało swój festiwal; jeszcze lepiej, gdy jest to — w dobre tysiąc festiwali — impreza, o której mówi się w całej Europie. Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych są w tej festiwalomanii bezsprzecznie ewenementem.

Kiedy przed trzema laty rozsypano uległ lubelski oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, wraz z końcem jego żywota stracono nadzieję na kontynuowanie spotkań wokalistów. Na szczęście (jak by się chciało częściej tak pisać) PIA „Estrada”, po dwuletnim namyśle, zorganizowało III LSWJ w oparciu o identyczny regulamin imprezy. Śmieszne rzeczy, które na tym festiwalu się zdarzyły, tłumaczyć można chyba tym, że „artystyczna” instytucja (PSJ) z przymrużeniem oka potraktowała swego „skomercjalizowanego” towarzysza zabaw, za jakiego nadal uchodzą wszystkim w kraju „Estrady”. Ale niech tam! Spotkania trwały, atmosfera nocnych klubów wypluwała nad ranem wymiętych muzyków i kibiców jazzu, cóż, taka to jest muzyka dola...

W tym roku cały program oparto na trzech koncertach-gigantach: w hali sportowej WOSTIW i sali teatralnej Chatki Zaka.

Idea została przysobiona do formy, chociaż powinno być akurat odwrotnie. Do skromnych możliwości Stowarzyszenia Jazzowego i „Estrady” dorobiono uzasadnienie, że prawem eksperymentu zgromadzi się czołową polską wokalistykę jazzową, pokaże publiczności, ile my tego i na jakim poziomie posiadamy, wykaże różnice między elitą, a startującymi w latach ubiegłych amatorami, co będzie tłumaczyło bezkonkursową formę (śmieszny paradoks) festiwalu.

Pisząc rok temu o Spotkaniach Wokalistów Jazzowych, sam proponowałem rezygnację z konkursu, ale nie na rzecz występów jedynie profesjonalistów, bo jak długo można słuchać tych samych głosów, których i tak jest niewiele? Przecież nadrzędną ideą wszystkich festiwali jest wyszukiwanie i dokształcanie ukrytych w powiatowych czy nawet wojewódzkich klubach zdolnych, młodych artystów!

Na konferencji prasowej tłumaczono, że lubelski przegląd jest dla tych ludzi bodźcem do przygotowania nowego programu, okazją do spotkania się w swoim kręgu, wymiany doświadczeń (jakich??); przymusem wreszcie do bardzo poważnego potraktowania występu... itd. Zgoda, ale to są cele podrzędne, drugoplanowe korzyści satysfakcjonujące przeważnie tylko konkretnych, wymienionych na afiszu wykonawców. Cel nadrzędny pozostaje nadal ten sam i trudno go unicestwić. Koncert w dużej hali, zupełnie nie przystosowanej do odbioru jakiegokolwiek muzyki, może być tylko ozdobą imprezy, pokazem laureatów i to tylko tych, których rodzaj wykonywanej muzyki (np. hard-rock) upoważnia do występów w takim hangarze zawsze nieakustycznym.

Przypatrzmy się teraz temu, co przez trzy dni wypełniło program IV Lubelskich Spotkań Wokalistów Jazzowych. Zastrzec się jednak muszę z góry, iż wszelkie szufladkowanie, rozdzielanie na to, co jest jazzem, a co nim nie jest, nie będzie miało tu miejsca. Granica między amerykańskimi pierwowzorami, a dorobkiem muzyki europejskiej, która poszła zupełnie w innym kierunku, zatarta się do tego stopnia, że krytyka straciła orientację wysłuchując „Warszawskiej Jesieni”, a w chwili potem koncertów „Jazz Jamboree”. Mieszanie elementów beatu i jazzu (realizowane np. ostatnio przez Milesa Davisa), nie pozwala obecnie na zajęcie się tylko muzyczną stroną poszczególnych utworów, nawet nie wykonawców, którzy swój repertuar bardzo często opierają na zasadzie swoistego, stylowego synkretyzmu. Wykonawców należy jednak w tym przypadku podzielić na dwie podstawowe grupy: na tych, którzy śpiewają jazz i na tych, którzy przez instrumentalne tylko reminiscencje do jazzu się zbliżają.

NOVI SINGERS — najgenialniejsza w Europie, druga w świecie (według fachowych opinii) grupa od wielu lat nie schodząca z najznakomitszych repertuarów słynnych sal koncertowych. NOVI w trójce pokazali — jak zwykle — najwyższy kunszt śpiewaczy, idealne zgranie, absolutny słuch i ciekawe improwizacje scatem. Ten zespół śpiewa wszystko: od wersji słynnych przebojów (Fool on a Hill — The Beatles), przez jazzowe ballady i transkrypcje Chopina, do własnych kompozycji nalaadowanych długimi partiami imitującymi instrumenty. Wszyscy przecieżyli ukończyli Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie a przeniesienie umiejętności instrumentalnych na głos ludzki było tylko kwestią czasu i talentu. Przed rokiem występowali w czwórce, teraz Bernard Kawka przebywa chwilowo za granicą, a brzmienie zespołu zupełnie się nie zmieniło. Solowe partie Ewy Wanat, wykonywane doskonale angielszczyzną, poszczególne, także solowe występy Janusza Mycha i Waldemara Parzyńskiego świadczą o tym, że i jako zespół i jako indywidualni soliści są NOVI grupą naprawdę na światowym poziomie.

Pierwszą natomiast część tego koncertu wypełniła różnorodnym programem jedyna, występująca zawsze z innym zespołem wokalistka polska — Marianna Wróblewska.

Wróblewska dosyć bezkrytycznie nazwana została „pierwszą damą polskiego jazzu”. Jest to miano o tyle nieuzasadnione, że tych dam nie ma znowu w naszej wokalistyce aż tak wiele a te, które są, na pewno bardziej zasługują na ów zaszczytny tytuł, jak chociażby wspomniana wyżej Ewa Wanat. Zresztą, czy tytuły są najważniejsze? M. Wróblewska ma — i to trzeba przyznać — kawał głosu, jej repertuar obejmuje swym zakresem całą w zasadzie fenomenalną historię jazzu i może właśnie dlatego w takiej mieszance giną konkretne umiejętności i zdolności. Każdy artysta bowiem dobiera sobie najwygodniejszy styl, wybiera określony typ muzyki,



Marianna Wróblewska — jej repertuar obejmuje swym zakresem całą prawie historię jazzu

Fot. A. Kargol

Trzy dni jazzu

Jacek Grün



Czesław Niemen — spójrz, ciemnoto, co ja przywiozłem!

Fot. A. Kargol

w którym czuć się będzie najswobodniej. Wróblewska zajmowała się niegdyś free-jazzem i w tym była niezła; teraz bierze na warsztat jazz tradycyjny, bluesa, interpretuje przeboje — i nie doznając środków muzycznej ekspresji staje się bardzo zła. Maniera odtwórcza, zaczerpnięta bezkrytycznie z całego dorobku światowej wokalistyki jazzowej, po kilku utworach zaczyna męczeć. Nie nowego — to samo co przed rokiem, dwoma laty...

Mimo wszystko koncert NOVI i Wróblewskiej stanowił najbardziej udany moment LSWJ. Reszta odbywała się w hali WOSTIW i była to reszta doskonała, chociaż niejazzowa. Bo jak potraktować występ grupy SBB (idea tłumacza nazwy: szukaj, burz i buduj), znakomitego zespołu, który można z jego muzyką ustawić

gdzieś między „Mahavishnu Orchestra” a angielskim „Pink Floyd”, chociaż muzyki mówią tak: „kierują nami podobne założenia, bo i my dążymy do syntez wszystkich rodzajów muzyki w jedną integralną całość, ale twórczość „Mahavishnu” traktujemy jedynie jako punkt wyjścia do naszych własnych poszukiwań i rozwijania tego, co ten zespół zapoczątkował”.

Dusza zespołu, gitarzysta basowy Józef Skrzek, próbował swoich sił w wokalizmie, ale tylko na próbach się skonczyło. Gdyby ścisłe przestrzegano artystycznego regulaminu i stereotypowych szufladek, Skrzek na przeglądzie wystąpić nie powinien. Wystąpił i to był naprawdę udany koncert. Zresztą na dobrą sprawę, gdyby ów regulamin miał kwalifikować do występów, LSWJ ograniczyłoby się do jednego tylko pokazu, bo — rzecz normalna — nie mielibyśmy aż tylu wykonawców. Dopuszczono zatem tych, których muzyka bądź miała swoje źródła w jazzie, bądź w daleko posuniętych kombinacjach wykorzystywała pewne elementy jazzu.

NIEMEN — to miała być bomba sezonu, lecz ta bomba okazała się niewypałem. Znowu kolejne nazwisko, ba! wielkie nazwisko zrobiło klapę: ani w hali WOSTIW, ani w powiatowych domach kultury, które Niemen odwiedził, nie zdołano zgromadzić kompletu na widowni. Więcej było chętnych do wysłuchania „Hagawu”, niż naszego idola, powracającego triumfalnie z USA. Koncert zresztą rozczarował. Niemen przywiózł syntetyzator „Moog”, potężną fabrykę dźwięków, komputer dający kilkanaście tysięcy brzmień o jakich nikomu się nie śniło przed laty — od zgrzytu maszyn, przez huk startującej rakiety i brzmienie orkiestry symfonicznej do zaprogramowanego w potrzebnej tonacji ostinata. Tu jednak Niemen przesadził, robiąc pokaz cudownej maszyny, omiatając publiczność wzrokiem jakby mówił: „spójrz, ciemnoto, co ja przywiozłem”. Tylko, że mnie sprzedawca w magazynie muzycznym w Hamburgu więcej pokazał na „Moogu” niż wszechstronny Maestro na koncercie w Lublinie.

Potem wystąpił jeszcze „Blues and Rock” Wojciecha Skowrońskiego, typowa grupa grająca nieskomplikowaną muzyczkę do tańca, prymitywnie męcząca mało plastyczne instrumenty, wykonująca uporcezywie ten sam bezustannie repertuar; zaśpiewał co nieco jazzu scatem świetny jak zwykle, chociaż już nieco nudny „Bemibem”; wystąpił „Hagaw”, równie dobrze parodiujący brzmienie starych, komercyjnych kapel big-bandowych, jak grupa „Chałturnik”; Krzysztof Sadowski, nasz niedługojszy „król organów Hammonda” (znowu te tytuły) wykonał nudną jak flaki z olejem suitę, wspomaganą przez wokalistkę a raczej piosenkarkę i flecistkę Lilianę Urbańską; tegoroczny zdobywca „Złotej Tarki”, tradycyjny „Gold Washboard” wspaniale akompaniował (przy tej starej muzyce serce rośnie) wokaliście Pawłowi Tartanusowi i szwedzkiej wokalistce Monice Bergkvist.

Na Lubelskich Spotkaniach Wokalistów Jazzowych wystąpiły bowiem dwie przedstawicielki spoza granic Polski. Monika Bergkvist, nawet jak na kraj, który nie pasjonuje się specjalnie wokalistyką ani samym jazzem, wypadła bardzo słabo. Nic właściwie, ani głos, ani feeling, ani umiejętności improwizatorskie, nie predystynują jej do śpiewania jazzu. Lepiej już znalazła się w swojej sytuacji Uchi Brüning z NRD. Od kilku lat śpiewa przeboje, od dwóch lat współpracuje ze znanym kwartetem G. Fischera. Skończyła wyższą szkołę muzyczną, ma świetnie ustawiony głos, ale przez wykonywane tematy przebiega maniera charakterystyczna dla piosenkarzy nagrywających szlagiery. Zresztą do Lublina nie przyjechał towarzyszący zawsze wokaliście kwartet, a naprędce skompletowany zespół dobrych muzyków był wobec podanego materiału prawie bezradny.

Słów parę poświęcić należy jeszcze prawdziwemu curiosum LSWJ. Otóż na jednym z koncertów konferansjerzy (Salon Niezależnych) wprowadzili na scenę pomalowanego na czarno pana Tarkowskiego, również członka tego kabaretu, znanego z parodii pt. Jajco holenderskie blues. I „człowiek z kabaretu” akompaniując sobie zupełnie poprawnie na gitarze klasycznej zaśpiewał dwa archaiczne bluesy angielszczyzną, której pozazdrościł mu mogą wszyscy nasi wokaliści. To już nie była parodia, ale znakomite odtworzenie klimatu tak charakterystycznego dla prairii dzisiejszego jazzu. Jakże pełnym przeciwieństwem był „Old Man River”, wykonywany przez Mariannę Wróblewską. Zresztą, w czasie występu Tarkowskiego publiczność straciła orientację — czy to jest kabaret czy rzeczywistość, rzetelny warsztat bluesmana.

Pora na podsumowanie imprezy.

Po pierwsze: praktyka wykazała, że konkurs wokalistów musi się odbywać, gdyż inaczej zniweczone zostają wysiłki organizatorów zmierzające w kierunku zapewnienia festiwalowi właściwej mu atmosfery. „Jazz Jamboree” udaje się dlatego, że biorą w nim udział światowe gwiazdy pierwszej wielkości. One to przyciągają na koncerty ludzi, którzy robią wokół imprezy tzw. szum. Do Lublina w tym roku nie przyjechał prawie nikt z etatowych obserwatorów, i bardzo źle, ale też nie było na co przyjeżdżać.

Po drugie: jeśli impreza ma się stać europejską musi w konkursie brać udział kilkunastu przedstawicieli, i to najlepszych, z sąsiednich państw. Im to przeciwstawić należy naszych amatorów i profesjonalistów: tych pierwszych po skrupulatnej selekcji dokonanej przez komisję.

Po trzecie: należy zorganizować szereg imprez towarzyszących, bez których festiwal zawsze będzie miał charakter tylko galowych koncertów. A przecież co jak co, ale muzyka jazzowa opiera się na dosyć specjalnych warunkach, jakie musi spełnić i organizator i przede wszystkim słuchacz.

DAWNO minęło popołudnie. Pan Franek, kopacz z wodziągów, jak zwykle po obiedzie wyszedł przed dom, aby postać sobie i pomedytować. Ulica ta była cichutka, ciągnąca się łukiem, brukowana kocimi łbami. Domek, w którym mieszkał, parterowy; obok dwupiętrowy z czerwonej cegły. Dalej podobne, mniejsze i większe budynki. Pan Franek przeżuwał jeszcze w ustach smak smażonego mięsa z cebulką. Zapalił papierosa. Na ulicy nie się nie działo. Nawet nikt nie wychodził ani nie wchodził do zakładu kamaszniczego, który mieścił się w dwupiętrowym budynku obok. Zadnego człowieka. Wtem na ulicy niespodziewanie pojawiły się tumany kurzu, a po chwili ukazała się jedna taksówka, a za nią druga. Taksówki zatrzymały się przy dwupiętrowym budynku. Z jednej wysiadł tegi, opalony mężczyzna w słonecznych okularach, a z drugiej niemłoda kobieta okryta zielonym modnym szalem. Oboje weszli do sklepu kamaszniczego. Pan Franek zmarszczył swoje czar-

— Też szewc? — zapytał tegi.
— Nie — odpowiedział kulawy szewc. — Zwyczajny znajomek po sąsiedztwie.
— Mieszka tu obok i tak czasem wpadam — wyjaśnił pan Franek, skrobiąc się z zażenowaniem po brodzie.

— Szkoda, że nie szewc — powiedział tegi mężczyzna. — Dla chłopaków mam taką robotę. Seryjna, bez przepasowań. Tylko byle komu nie daję — zaśmiał się. — Za dużo chętnych by się znalazło. Bo co firma to firma.

Pan Franek rozłożył ręce. Tegi zwrócił się do pozostałych.

— Zresztą, panowie, szewstwo dziś to mucha. Wszystko na klej, galanterijna robótka, w garniturku pod krawatem można zasiąść do stolka. Nie to co dawniej, ręce miało się jak podeszwy. To była ty-raczką.

Szewcy kiwali głowami. Maszyna warczała zawzięcie, a jej nieustający warkot czasem zamieniał się w jęk. Spod maszyny wyskakiwały ciągle nowe, granatowe i czerwone wierzchy. Pan Franek

dzonych zaprosił na tradycyjny kieliszek po robocie. Choć wódkę nalewano do szklanek.

Pierwszą szklankę podano kobiecie, szewcy nieśmiało podchodzili do stołu. Spoglądali na boki, zaciągali się papierosami. Nie wiedzieli, co wypada, a co nie. Zaś pana Franka trzeba było namawiać jak dzieciaka, choć dla nikogo nie było tajemnicą, że chłop lubił popić jak mało kto. Ale kiedy już wypił i ostatnie krople wprawnie strząsnął na podłogę, od razu w oku zapłonęła mu iskierka. Jakby poweselał i z przyzwyczajenia zatarł ręce. Usłyszał teraz coś o wyższości. Nadstawił ucha. Padły wygrane i przegrane tysiące. Dziesiątki tysięcy. Miasta i lokale, piękne dziewczyny, na które zareagowała kobieta gniewnym pomrukiem, ale tegi uszczypnął ją pieszczotliwie w policzek i z powrotem nastąpił wesóły pogodny nastrój, pogodnej opowieści. Pan Franek ciągle na tegiego mężczyznę patrzył z podziwem. „Taka figura, taki gość” — myślał po swoim, a przecież w końcu zwykły człowiek. Oprócz tego musiał go na pewno gdzieś widzieć, mógł nawet rozmawiać z nim, a może wypili gdzieś po kieliszku.

Następną szklankę pan Franek wychylił bez zbytejnego ociągania. Sztynność w zachowaniu trochę niktęła. Otarł garścią usta i zapalił papierosa. W sklepie robił się gwar. Panu Frankowi zamajaczył pewien obraz. Z początku niewyraźny, zamglony, jakby wyłaniał się z dale-

Poznaję go, jak nie wiem co. Za ostatnie pieniądze kupiłem, za ostatnie grosze.

— Mnie się wydaje — mruknął znów starszy kamasznik — że to coś nie tak. Wystarczy popatrzeć na Stanisława.



Rys. E. Ingłot

— A ja wam mówię — zawołał pan Franek ze wściekłym błyskiem w oku — a ja wam mówię, że to on. On i nikt więcej. Tylko on. Ze-bym tak miał się w trumnie znaleźć.

Przy tym zaczął uderzać pięścią w stół. Zanosilo się na zupełną awanturę. Nikt nigdy nie widział pana Franka jeszcze w takim stanie. Tylko było patrzeć jak zaczyna na sobie rwać koszulę. Nikt już mu nie zaprzeczał. I wtedy niespodziewanie w sklepie znów pojawił się tegi mężczyzna.

— Wróciłem się — powiedział patrząc na pana Franka, któremu w jednej sekundzie pięść znieruchomiała na stole. — Wróciłem się, bo przypomniałem sobie, że ja pana skądś znam.

Pan Franek zamrugnął oczami i niemo otworzył usta. Z trudem zaczął przetykać ślinę. Nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

— No, gdzie chyba musieliśmy się spotkać — mówił pewnym głosem tegi mężczyzna. — Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie. Tyle twarzy, tyle interesów.

— Pierwszy raz na oczy pana widzę — odpowiedział cicho pan Franek, w dalszym ciągu mocno zmieszany.

— Niemożliwe.

— Tak, na pewno pierwszy raz dziś — pan Franek zaczął się wycofywać w kierunku drzwi. Na nikogo nie patrzył. — Na pewno pierwszy raz, proszę pana.



Rys. E. Ingłot

— Czyżbym się mylił? — na czo-le tegiego pojawił się namysł. — Nie, to niemożliwe — pstryknął palcami — gdzieś musiałem pana widzieć, gdzieś...

— Nie — poruszył przecząco głową pan Franek. Spojrzał ukradkiem na milczących szewców, z jakimś ogromnym bólem i niemocą, i spuścił głowę. — To ja już pójdę — powiedział cicho i wymknął się za drzwi tego sklepu.

STARY

ne krzaczaste brwi i gwizdnął przeciągle. Nie często takie rzeczy oglądał. Do kina nie chodził, telewizją zbyttno się nie interesował. Najwyżej popił z chłopakami z roboty, albo szedł do kamaszników pogadać, do nich jednak nikt nigdy taksówkami nie przyjeżdżał. A tutaj w dodatku naraz dwie. Panu Frankowi w głowie trzepotała niejasna, trudna myśl. Zaciągał się chciwie papierosem. Co to wszystko ma znaczyć? Nie miał okazji kogo zapytać, chętnie podzieliłby się uwagą na ten temat nawet z jakimś przygodnym przechodniem. W chwilę później jednak zobaczył, jak z dwóch przeciwnych rogów wybiega dwóch szewców, którzy podobno nie zawsze w zgodzie z sobą żyli. Obaj jeszcze w fartuchach roboczych i krymkach na głowach.

— Co się stało? — zapytał ich pan Franek.

— A co się miało stać — powiedział kulejący szewc — Stanisław przyjechał.

— Aaa — mruknął pan Franek, przypominając sobie tę postać z zasygnalizowanych opowieści.

Obaj szewcy już zniknęli za drzwiami sklepu. Pan Franek nie miał kogo o coś więcej zapytać. Ale to, co usłyszał, wystarczyło mu do pewnych rozmyślań. To na pewno chodzi o tego faceta, co daje kamasznikom hurtowo robotę. Opowiadali nieraz o nim szewcy i kamasznicy. Figura. Bardzo poważna figura. Spojrzał na taksówki, które błyszczały w znikającym za domami słońcu. Aż dwie. Miał wielką ochotę takiego gościa z bliska zobaczyć, chociaż tylko przez chwilę na takiego popatrzeć. Ale nie chciał teraz nachalnie, niczym przekupka, wlażyć. Zawsze ten swój honor miał. Dopiero kiedy ze sklepu wyszedł młodszy kamasznik i przed wejściem do jednej z taksówek mrugnął do pana Franka zapraszająco, pan Franek poszedł tam.

W sklepie na stole siedział tegi mężczyzna, który przed chwilą przyjechał. Nie miał już na nosie słonecznych okularów. Coś prawil machając rękami. Na krzeselku kobieta spoglądała na niego. Dwóch szewców stało zasłuchanych ze zmarszczonymi czołami i okrągłymi oczami. Starszy kamasznik pochyłony nad maszyną wykańczał wierzchy pantofli, w jakich miały po ulicach spacerować tysiące dziewcząt. Granatowe i czerwone kawalki skóry piętrzyły się na maszynie i podłodze. Odrywając na chwilę oczy z maszyn, spojrzął na pana Franka i rzucił:

— Sąsiad, panie Stanisławie.

Pan Franek wyciągnął do niego rękę.

ZNAJOMY

przypomniał sobie jak kamasznicy mówili o tym tegim, że ma własną willę, w oknach kute kraty. Furtka do ogrodu tylko otwiera się dla pewnych osób, i to sama się otwiera. Na podłodze perskie dywany. Spojrzał znów na tegiego mężczyznę, zważając brwi, jakby nie dowierzał. Taki jak każdy, a taka figura, taka figura, że aż strach pomyśleć.

— Tak, tak, panowie — ciągnął tegi władczo — to co teraz to mucha w porównaniu z dawnymi czasami — podniósł z obrzymiej sterty jeden gotowy wierzch — kopytko dopasować, obciągnąć, skleić i wsio. Nie trzeba siły, tylko trochę mieć smaku...

— Ma gadane — pomyślał pan Franek prawie nie odrywając od niego oczu. To musi być dopiero gość, chociaż taki jak każdy z wyglądu.

W pewnej chwili panu Frankowi się wydawało, że nawet gdzieś go już widział. Nie mógł sobie jednak przypomnieć ani miejsca, ani sytuacji. Ale ciągle ta myśl powracała.

— Tak jakby — mruknął nagle; tamten tegi mężczyzna również rzucił okiem na pana Franka.

Jedna z taksówek z powrotem zjechała pod sklep. Młodszy kamasznik wszedł, niosąc w obu kieszeniach półlitrowki. Przed wejściem za przepierzenie zmrugał oko i uśmiechnął się głupawo. Po chwili słycać było płukanie szklanek, zagłuszane od czasu do czasu warkotem maszyny. Starszy kamasznik robił ostatnie poprawki. Potem wstał, strząsnął z fartucha ścinki i zaczął przeliczać gotowe wierzchy. Na jedną stertę granatowe, na inną czerwone. Po przeliczeniu związał je sznureczkiem i zaniosł do taksówki. Kiedy powrócił, tegi mężczyzna wyciągnął portfel, zapłacił nowiutkimi, szeleszczącymi banknotami i wszystkich tutaj zgroma-

Leszek Płazewski

kiego snu. Potem jaśniejszy i jaśniejszy, całkiem wyraźny, jakby to wszystko działo się dopiero wczoraj. Zaciął rękę tylko otwiera się dla pewnych osób, i to sama się otwiera. Wracą po tułaczce wojennej do domu, i właśnie pod tym dworcem następuje takie sobie spotkanie. Ten tegi mężczyzna, który jest teraz w sklepie, tylko wychudzony wtedy i dużo młodszy, podchodzi do pana Franka. Odciąga go na bok, żeby nikt z kręcących się w pobliżu ludzi nie słyszał ich rozmowy. Proponuje saperki, mocne wojskowe saperki. Nie chce za nie dużo. Tanie. Pokazuje spody, pokazuje wierzchy. Panu Frankowi buty akurat spadają z nóg, więc po krótkim targu kupuje je. Ten targ przybijają dłońmi. Pan Franek jest zadowolony z siebie, buty przecież dokładnie obejrzał. Ale po jakimś czasie jeszcze raz popatrzył na nie i zamarł z przerażenia. Stwierdził, że oba buty są na tę samą, lewą nogę. Nie miał pojęcia, jak dał się oszukać, ale dał. „To on” — pomyślał odrzucając papierosa, który już zaczynał mu parzyć palce. Tegi mężczyzna w najlepsze opowiadał kawały swym donośnym głosem, w sklepie huczało. Młodszy kamasznik jeszcze raz pojechał po wódkę.

Ale głośno powiedział pan Franek o swej powojennej przygodzie z butami, kiedy tegi mężczyzna i jego kobieta odjechali do domu.

— Czy to możliwe? — zaczął zastanawiać się starszy kamasznik.

— Na pewno takie przeoczenie — powiedział wyższy szewc. — Sam czasem idę, podobny gość, ale to nie ten. Mało jest w życiu podobnych?

— Kiedy ja wam mówię, że to on — zaperzył się pan Franek. — Nikt inny tylko on. Dwa buty na lewą nogę mi sprzedał, oszukaniec.

Trener Gajewski - out!

W PIĄTEK 7 czerwca umawiałem się z trenerem Gajewskim „Motoru”, Andrzejem Gajewskim, iż bez względu na okoliczności spotkamy się w poniedziałek, 10 czerwca, żeby porozmawiać. Rozstawiamy się w pełnej pogodzie, a w poniedziałkowe okoliczności może być nawet dramatyczne. W piątek, przed niedzielnym meczem „Motoru” ze „Stomilem” w Olsztynie, lubelska drużyna miała takie same szanse zakwalifikowania się do pierwszej ligi jak i „Arka” Gdynia, która też grała swój ostatni mecz na wyjeździe. W niedzielę okazało się, iż „Motor” przegrał ze „Stomilem” zaś „Arka” wygrała z „Widzewem”, i spotkanie pierwszoligowe w przyszłym sezonie piłkarskim będzie oglądał nie Lublin lecz Gdynia. Szkoda, ale tak w sporcie bywa i można to jakoś przeżyć.

Pozostała jednak moja rozmowa z trenerem Gajewskim. Zadzwońnię do niego w poniedziałek rano, około 8.30 — widać płatkowej umowy. Jeszcze spał, czemu się nie zdziwiłem, gdyż wraz z drużyną podróżował z Olsztyna całą noc. Poprosiłem kogoś z domowników, żeby trener do mnie zatelefonował jak się tylko obudzi i rozsiadł się przy numerze. Nie zatelefonował. Pojechał do klubu — dowiedziałem się. Zadzwońnię do klubu. Wyszedł do dyrekcji. Zostawiłem swój numer. Zadzwońnię do dyrekcji. Jest na uroczystym spotkaniu. Zostawiłem swój numer. Znowu zadzwoniłem do dyrekcji. Przekazano mi moją prośbę o telefon, poszedł do klubu wraz z prezesem. Zadzwońnię do klubu. Przekazano mi moją prośbę o telefon, gdzie wyszedł, nie wiadomo, gdzie i kiedy wróci, może poszedł do dyrekcji.

Zrobiła się godzina 14.30 i zacząłem podejrzewać, iż trener może unikać, a raczej unika prasy. Może to działał na głowę w „Standardzie”: „Smutne zakończenie sezonu. Po porażce ze Stomilem przysnął sen o ekstraklasie”. Z tego wszystkiego odezwały się moje hemoroidy, ponieważ w odróżnieniu od piłkarzy nie prowadzę czynnego trybu życia, lecz raczej siedzący. Postanowiłem pójść do lekarza. I wtedy zadzwonił trener Gajewski.

- Myślałem już, że pan robi uniki — powiedziałem.
 - Nie jestem bokserem, tylko piłkarzem. Możemy się spotkać.
 - Gdzie i kiedy?
 - Będziemy mieli w „Europie” jakąś uroczystość o 18.00, więc może spotkamy się w kawiarni „Europa” o 17.00.
 - W Lublinie nie ma kawiarni „Europa”, jest taka restauracja.
 - Mieszkałam w Lublinie półtora roku i nigdy jeszcze w „Europie” nie byłam. Jak restauracja, to spotkajmy się w restauracji.
 - Może jednak o 18.30?
 - Dobrze, ja będę ubrany w brązowy garnitur i koszulę w paski, a pan?
 - Ja w dżinsy i czarną skórki.
 - W porządku, do widzenia.
 - Do zobaczenia.
- W holu „Europy”, już po wizycie u lekarza, zaopatrzonego w baterię przeciw-

hemoroidalnych czopków i maści oraz pięciodniowe zwolnienie, czekałem na trenera Gajewskiego 40 minut. Nie przyszedł. Może to wina arytmii w „Kuriersze”: „Czarna rozpacz wśród kibiców. Niespełnione nadzieje”. I dalej: „Wielomiesięczny trud i wysiłek piłkarzy „Mo-

toru” nie przyniósł oczekiwanego rezultatu. Tym smutniejsze to faki, że władze wojewódzkie i miejskie nie skąpiły swojej pomocy dla drużyny, była tylko mogła osiągnąć zamierzony cel. Wszystkich spotkał srogi zawód, a wielka okazja i szansa, jaka może się już dłu-



Fot. Archiwum

go nie powrócić, została w tym roku uformalnie zaprzeczona”.
W kwestii zawodnika, który zdecydowanie unika waki bywa idydzalnym. W pilce nożnej zawodnik, który zdecydowanie i stosownie fauluje, może zostać usunięty z boiska. Nie mam poczucia, że trener Gajewski sfalował mecz, chorowatego dziennikarza, on raczej stał na boku, a może na spalonym?
A najwzruszające w tym wszystkim jest to, że wcale nie miałem zamiaru wdziżyć z trenerem, rodzicem marynarki nad porażką „Motoru”, szukać winnych i tak dalej. Wydaje mi się, że miniony sezon piłkarski może drużyna ESC staliwówac z umiarkowanym optymizmem. Nigdy jeszcze jakakolwiek lubelska drużyna nie była tak bliska ekstraklasie jak „Motor” w tym roku. I to niewątpliwie duża zasługa także trenera Gajewskiego, który podobno jest trenerem nowoczesnym i który podobno „Stal” Mielec doprowadził do mistrzostwa Polski. Nie rozumiem zupełnie, dlaczego pierwszoligowa perspektywa „Motoru” miałaby się nie potwierdzić w sezonie przyszłym, dlaczego miałaby się długo nie potwierdzić? I co do tego mają władze wojewódzkie i miejskie? Wszystkie zawieszane?

Doceniając propagandową rolę sportu, nie potrafię się zgodzić na przypisywanie zwycięstwom i porażkom sportowym patriotycznego ciężaru, narodowego bądź tylko wojewódzkiego. Głupie to i śmieszne. Klęska „Motoru” — klęską mieszkańców i władz województwa. Porażka (ewentualna) polskich piłkarzy w Monachium — klęską całego narodu. Ponadto, ktoś tu oszalał! Do szowinizmu już blisko! Czyż trzeba komu tłumaczyć, że choć wynik w sporcie ważna rzecz, to przede wszystkim nie składa się tylko bezwzględna wartość zawodników i zespołu, jest jeszcze czynnik szczęścia, nie dające się przewidzieć spadki formy, zbiegi okoliczności i tak dalej, słowem to wszystko, co sprawia, że sport stał się dla widowni masowym, nieopowiadającym i trapiącym.

Jestem przekonany, że trener Gajewski wie o tym wszystkim doskonale, lewi ode mnie. Oczywiście, są w polskim sporcie sprawy delikatne. Pytanie o masowość, pytanie o skuteczność mecenatu, pytanie o pieniądze, pytanie o różnicę między amatorskim wyczynem a zawodowym zawodownictwem. Różne pytania, które chciałem zadać trenerowi. Tylko że w takim przypadku nie można chodzić po autach.

Pociąg

PS.
Pociąg lubelskich kibiców jadący do Gdyni i podobny pociąg do Olsztyna, specjalnie na tę okazję wynajęte, mogłyby nawet cieszyć, gdyby nie moje podejrzenie o płaskie i niezdrowe przesłanki, tkwiące za tym wszystkim. No cóż, kibicowi wolno być nierozsądnym, bo nikt u nas kibica nie edukuje. A swoją drogą ciekawy jestem, ile też lubelscy kibice wypili przy tej sportowej okazji — wódki? Jak się najeżysz po meczach kształtowała absencja w pracy?

Spod Krasnegostawu do Maroka (III)

W DOMU TYSIĄCZNIKA

Wojciech Sulewski

NIESZCZĘŚCIE, które niespodziewanie spadło na ród Ibn Hazm, dotknęło również w poważnym stopniu Wandę Siwińską, choć z drugiej strony następstwa jego umożliwiły oświkiej szlachciance powrót do kraju. Zaczęło się od tego, że władca Maroka, potężny sultan Mulaj Ismail — sprzymierzeniec Sobieskiego w wojnach z Turkami — wykrył spisek, jaki przeciwko niemu zawiązali marokańscy feudalowie. Nastąpiły dochodzenia i represje: kat w Fezie zdjął sporo głów, wśród których była także głowa seniora rodu Ibn Hazm. Mądry kaidowie (sędziowie) oraz uczeni komentatorzy słów proroka i sultana orzekli konfiskatę majątku spiszkowców. Dotknęła ona także ród Ibn Hazm.

Niewolnice Salda, którego sultan wysłał do odległego garnizonu na Saharze, sprzedał na licytacji komornik specjalnie przybyły z Fezu. Siwińską kupił Rusafi, tyśiącznik jazdy berberyjskiej, sławny z odwagi i sily uczestnik wypraw nad Niger. Był olbrzymiego wzrostu, wybuchal co chwilę huczącym śmiechem, a palce, którymi wodził po nagim ciele kupowanej kobiety, miały siłę żelaznych kleszczy.

W małym domu oficera, położonym w połowie drogi z Es-Sawira do Marakezu, życie płynęło zupełnie inaczej niż w pałacu rodu Ibn Hazm. Rusafi był bardzo wesołym i skorym do żartów mężczyzną. Był także wspaniałym, choć wielce wymagającym kochankiem, o czym Siwińska przekonała się dosłownie po upływie godziny od chwili kiedy ją kupił. Dowiedziała się też wtedy, że jej konkurentka Beata, sprzedawana razem z nią, dostała się do domu publicznego. Wiadomość ta sprawiła szlachciance z Maszowa dużą przyjemność. Potraktowała ją jako „sprawiedliwą karę boską” za niedawne intrygi bylej mniszki, w których wyniku dostała od Salda nago dwadzieścia pięć róż na karmazynowym kobiercu. Siwińska bardzo nie lubiła innych kobiet i zachowała tę niechęć aż do późnej starości.

Należała do tyśiącznika, podobnie jak trzy Murzynki i Ormianka, umiająca pięknie grać na różnych instrumentach. Domem Rusafiego zarządzała garbata Berberka, osoba szredna i ślesliwa, ale poza tym raczej nie groźna. Należące do Rusafiego Murzynki chodziły nago, jeśli nie liczyć miedzianych i srebrnych bransolet, nałożonych gdzie się tylko dało. Siwińskiej i Ormiance właściciel

pozwał używać szatek, bardzo zresztą umownych. Nigdy natomiast nie bił swoich niewolnic, co Siwińska dobrze zapamiętała.

Tyśiącznik prowadził bardzo wesoły i towarzyski tryb życia. Odwiedzający go przyjaciele, przeważnie oficerowie, pili wino nie krepując się zakazami Koranu, deklamowali wiersze, grali w kości i szachy. Korzystał także z wdzięków niewolnic. Siwińska miała duże powodzenie, a jej właściciel pożyczal ją nawet na dłużej najbliższym spośród swoich przyjaciół. Berberyjskiemu wojownikowi nie przychodziło nawet do głowy być zazdrosnym o ciało niewolnicy. Nie uwzględniał też prób Ormianki błagającej, aby nie kazał się jej oddawać jego przyjaciołom w dniach wielkiego postu.

Pobył Siwińskiej w domu tyśiącznika nie trwał długo, a przerwał go fakt wielce prozaiczny: Rusafi zgrał się strasznie w kości. Hazard owładnął nim do tego stopnia, że zaprzepaścił nawet część pieniędzy, które otrzymał z Fezu na koszty przygotowywanej wyprawy przeciwko murzyńskim państwom nad Senegalem. Oficer wiedział, że gdy sultański kontrolerzy wykryją brak państwowych pieniędzy, jego głowa może spaść pod mieczem kata i żeby do tego nie dopuścić, sprzedał co rychlej Siwińską i Ormiankę. Handlarz niewolników, zarabizowany Grek Manfaluti, z którym Rusafi załatwił transakcję, wykorzystał przymusową sytuację, w jakiej znalazł się oficer, i zapłacił mu za obie kobiety znacznie mniej niż były warte. Tak przynajmniej sądziła Siwińska.

Manfaluti wybrał się morzem do Trypolitani z dużym transportem urodziny chłopców murzyńskich z piernikiem Kefta i Kulibali, których marokańscy chirurdzy przekształcili niedawno w eunuchów. Przy okazji zabrał ze sobą kupione od Rusafiego kobiety. Podczas podróży Siwińska dzieliła z nim łóżko w jego kajucie, ale mimo stosowania najbardziej pomysłowych pieszczoł nie zdołała się dowiedzieć od Greka, gdzie i komu zostanie sprzedana. W Trypolisie, dokąd płynął wynajęty przez Manfalutiego okręt, nie było kłopotu ze sprzedażą przywiezionego „towaru”. Czarnych chłopców kupił miejscowi bogacze, przeznaczając ich do służby w haremach, Ormiankę nabył właściciel domu publicznego, a Siwińska przeszła w ręce posiadacza wielkich ogrodów, położonych pod Trypolisem.

Zaczęły się bardzo złe dni dla szlachciance z Maszowa. Schyłona nisko nad motyka, okonywała przez całe dni grządy jarzyn lub krzaki winorośli. Właściciel ogrodów uważał, że dla oszczędności pracujący w nich niewolnicy

— zarówno mężczyźni jak i kobiety — powinni chodzić tylko we własnej skórze. Pracy w ogrodach doglądało wielu dozorców, a wszyscy uważali, że należy popędzać zatrudnionych tam „pogan” korbaczem ze skóry nosorożca. Nie dawał też spać w nocy niewolnicom, o czym Wanda się wielokrotnie przekonała.

Siwińska była już zupełnie pogrążona w rozpacz, gdy nagle któregoś dnia dozorca zabrał ją z ogrodu i zaprowadził do pałacyku, w którym mieszkał właściciel. Tam wykapano ją, ubrano i zamknięto w izbie przy kuchni, gdzie siedziało już kilka Hiszpanek i Włoszek, podobnie jak i Wanda niewolnic ogrodnika Mutamija. Siwińska nie mogła pojąć, skąd taka nagła odmiana w jej losie. Dowiedziała się dopiero na drugi dzień.

Okazało się, że do Trypolisu przybyli zakonnicy, Trynitarze, w celu wykupywania chrześcijańskich niewolnic. Ofiarowali za nie wysoki okup, toteż nie mogli się uskarżać na brak ofert. Również i Mutamija postanowił skorzystać z okazji, tym bardziej że jego chrześcijańskie niewolnice były już nie najmłodsze i podniszczone ciężką pracą. Zostawił tylko młodszą Włoszkę, którą dopiero od kilku tygodni trzymał dla rozkoszy w haremie.

Na neapolitańskim okręcie powróciła pani Siwińska do Europy. W Rzymie zapytywała się jeszcze u zakonników i wyjechała zaraz do Polski. Na Boże Narodzenie 1682 roku była już w Maszowie. Tutaj bez większych przeszkód weszła z powrotem w posiadanie majątku, którym zarządzał daleki kuzyn jej dawno zmarłego męża. Z niewolnicy przekształciła się znowu w panią. Była prawdziwym wyjątkiem wśród tych wszystkich Polek, którym w XVII stuleciu zdarzyło się trafić do haremów świata muzułmańskiego.

Wanda Siwińska urządziła się jeszcze w życiu, a nawet wyszła ponownie za mąż, uszczęśliwiając jednego ze swoich sąsiadów, n.b. znacznie od niej młodszego: był on oczarowany jej walorami jako miłośnicy i od razu znalazł się pod twardym pantoflem żony. Nie potrafiła jednak zapomnieć o swoich przeżyciach na Krymie, w Maroku i Trypolitanii. Gdy była już starą kobietą, spisała część swoich wspomnień. Ten rękopis był później w posiadaniu jednego z profesorów przelawnej Akademii Zamajskiej, skąd trafił do biblioteki ordynackiej w Kłemenzowie — potomkowie hetmana Zamajskiego lubili literaturę i grafikę erotyczną.

Nie wiadomo, co się stało z zapiskami dziedziczki z Maszowa. W każdym razie czytał je w latach trzydziestych porządkujący bibliotekę ordynacką archiwista i sporządził z nich obszernie wyciągi, które stały się podstawą tego szkicu.

KSIEŻYCÓWKA

PERFIDNA jest sytuacja, kiedy naczelnik gminy i komendant posterunku zasiadają przy weselnym stole córki najprędniejszego gospodarza we wsi. Stoły w podkowie, dechy w ogrodzie, grajkowie przyszykowani, harmonista w miarę pijany, żarcia w bród, wódki morze, goście już poczynają się rozgrzewać. I właśnie ta wódka. Naczelnik wacha, komendant wacha, obaj trzeźwi jak skrzypce, popatrują na się ponuro, który zacznie pierwszy. Zerkają, zerkają, aż w końcu jeden wychyli szklanę. Odsapnie, lzę otrze. „Monopolowy — powie — można go...”

Faktem jest jednak, że wesela wiejskie, a i codzienność wiejska czasami samogonem zatracają. Lecz są także sąsiedzi życzliwi, przed sądem stają wprawdzie zamurowani, tyle że stółkowemu donoszą cichcem. I wtedy się zaczyna.

Wiedzą sąsiedzi, na czym kto siedzi. „Czy obywatel posiada nielegalnie produkowany spirytus i aparaturę do jego wytwarzania?” — pyta władza, niekoniecznie najinteligentniej. „Skądże znowu” — odpowiada obywatel, niekoniecznie prawdziwie (potem powie, że skłamał, bo się stremował). Przeszukanie. Jest! Sześć półlitrowek w piwnicy na przymie ziemniaków i

cyjach z ustawy o zwalczaniu niedozwolonego wyrobu spirytusu (22 IV 1959 r.) mięknie, bo za samo posiadanie samogonu można otrzymać trzy lata i grzywnę ponad 5000 zł.

Więc nie on produkował, tylko kupił od sąsiada za 150 zł te cztery litry. Produkował sąsiad, sam widział. Sagan z zacierem, miska z zimną wodą, bańka od mleka, jakaś rurka (urządzenie łatwe do demontażu i ukrycia), pół litra ścieka na godzinę, z kilograma cukru i 10 dkg drożdży wychodzi litr radości słonecznej, etylowej. Sąsiad namawiał go, żeby i on spróbował produkcji, nie chciał. Ma osiem tuczników, „z rogacizny dwie krów mlecznych”, 500 litrów mleka rocznie państwu odstawi, w sezonie murarką się zajmuje, po co mu zarobek na bimbrze? Dostał rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata, 6000 zł grzywny, zobowiązanie do 20 godzin pracy społecznej w swojej wsi. Drogo kosztowały te cztery litry.

Przeszukanie u sąsiada wynalazło litr 38-procentowego zajzajera w kredensie i 10 litrów zaciera w lazience, jeszcze świeżego, słabo zakwaszonego. Sprawa jasna, ale właściciel się wypiera, dużo i zawile mówi. Absolutnie nie wie, skąd wziął się samogon w kredensie, zaciera w lazience to mamusia zrobiła i powiedziała, że będzie z tego wino. „Ja nawet w życiu swoim osobiście tego nie piliem i nie widziałem, po prostu jest to wymysł, jakiś bimber, o co chodzi”. Oficjalnie wieś nie wie, ale cichcem informuje kogo trzeba, że człowiek z mamusią na spółkę pędzą i handlują. Człowiek jak głaz: „Po co mnie handlować, mam 14 hektarów, 24 buhaje rok w rok dla państwa odstawiam na eksport, trzy mleczne krowy trzymam, jałówkę, dwa konie, źrebę, cztery świnię, żniwiarkę, kosiarke, snopowiązałkę, siewnik do ziarna, siewnik do nawozów, koparkę do ziemniaków. „Panie, skończ pan” — mówią znudzeni śledczy i postanawiają zająć się mamusią.

Litr bimbru to nie krasnoludki przyniosły — mówi mamusia — tylko ona sama kupiła na jarmarku od człowieka, którego nie znała i nie mogłaby teraz rozpoznać. Jest wdową, ciężko jej w życiu, choć syn posłuszny, nawet żenić się nie chce. To, co stoi w lazience, nie jest żadnym zacierem, ale zwyczajną zakwaszką na wino. Ci, co mówią, że u niej kupowali samogon, kłamią perfidnie i nie będą jej mogli w oczy spojrzeć. Dzielną mamusia.

Oboje będą odpowiadać z wolnej stopy, zastosowano poręczenie majątkowe w wysokości 10 000 zł. Ale może być gorzej, bo idzie o produkcję i handel, a sąd ostatnio bimbrownikom nie lubi zdecydowanie. Jedyna rada w takiej sytuacji to surowe sankcje prawne i taka jest obecna polityka wymiaru sprawiedliwości. Smutne, że za pędzenie samogonu biorą się niekiedy rolnicy o nienagannej skądinąd opinii. Nie oplaca się to nigdy, sąd ma możliwość wymierzenia praktycznie każdej grzywny.



Rys. L. Szalecki

dwie w kuchennym kredensie. 36 — procentowa godła, jeszcze słabo przetwarzona. Aparatury nie odnaleziono.

Właściciel bimbru i gospodarstwa 3-hektarowego o rocznej przychodowości 13 700 zł wpiersi twierdzi, że sam na własny użytek wyprodukował, bo mu się powodzi nie najlepiej z żoną i dwójkiem dzieci, a wypić też trzeba. Poinformowany o grożących mu sank-

Sennik egipski

- 12 -

Hipnotyzować kogoś — dawać komuś złe rady
Historię czytać lub opowiadać — przykre wspomnienia
Hotel — będziesz zaproszony w goście
Holdy — przykre stosunki ze znajomymi
Hulać — smutek, zmartwienie
Hullać — smutne rozczerwanie
Huśtać się — krótka radość
Huśtawka — niepewność w interesach
Huzar — zawód w miłości

I
Iglę otrzymać — zerwanie przyjaźni
Iglę nawlekać — trudności w interesach
Iglę znaleźć lub szukać — bieda w domu
Igielnik — niepożądany prezent
Igrzyska widzieć — przestraszyć
Iluminacja — szczęśliwe dni
Imbryk z kawą — oczerni ktoś twój dom
Imbryk z herbatą — silne zdenerwowanie
Imię swoje słyszeć — ostrzeżenie
Indyk — irytacja, gniew
Instrument słyseć grający — zabawa, zebranie
Instrumenty chirurgiczne — rozstrzygnięcie niemiłych spraw
Infuła — ważne zlecenie
Instytut zwiedzać — wycieczka
Introligator — interes bez zysku
Inwalida — przewycięzysz wszystkie przeszkody
Inwentarz martwy — bankructwo
Inwentarz żywy — dobrobyt
Inżynier — dobre, zyskowne pomysły
Iskry — praca i oszczędność twoim celem
Iść ciężko — wytrwałość we wszystkich sprawach
Iść lekko, szybko — łatwe dojście do celu
Izba brudna, niechlujna — wielkie zmartwienie
Izba czysta — spotkasz dobrych ludzi
Izbę zamiatać — dużo hałasu o nic

J
Jabłka jeść — powodzenie w interesach
Jabłka kupować — życzliwy przyjaciel
Jabłka sprzedawać — fałszywy przyjaciel
Jabłka zrywać — szczęście
Jabłka kwaśne — przykrości z własnej winy
Jabłka słodkie — wesole i bardzo mile towarzystwo
Jabłka dostać — niespodzianka
Jabłka obierać — przestroga przed złym towarzystwem
Jabłka zbierać — dobre interesy
Jabłka zgnile — niebezpieczeństwo
Jabłka rajskie — niespodziewana wizyta
Jabłko kwitnące — dobre wiadomości
Jabłko zielone — zysk
Jabłko bez liści — zguba
Jacht — mile towarzystwo
Jad — oszczerstwo
Jadalnia — choroba żołądka
Jadłodajnia — zdenerwowanie
Jagnię mieć — spokojne życie
Jagnię nosić — dobrobyt, szczęście
Jagnię skaczące — awantura z dziećmi lub o dzieci
Jagnię widzieć — zazdrość
Jagnię zabijać — przykrość, niewinne posądzenie
Jagody jeść — choroba w rodzinie
Jagody dojrzałe — zdrowie, dobre samopoczucie
Jagody niedojrzałe — nieporozumienie, płacz
Jagody zbierać — zysk, powodzenie
Jagody, szukać — daremne zabiegi w interesach
Jaja dostać — duże korzyści z interesów
Jaja gotować — plotki
Jaja jeść — zmartwienie
Jaja kolorowe — zawód
Jaja kupować — złe posunięcia w interesach
Jaja ptasie — błogosławieństwo
Jaja widzieć — nieporozumienie, kłótnie
Jaja wybierać z gniazda — zabawa, zaproszenie
Jaja zepsute — niepowodzenie, przeciwności
Jaja tłułe lub widzieć potłuczone — szkody materialne
Jajecznicę jeść — zadowolenie, dobre samopoczucie
Jajecznicę smażyć — zdrowie
Jalmużnę dawać — kłopoty
Jalmużnę otrzymać — dobra propozycja, z której należy skorzystać
Jałówka — dobrobyt, powodzenie
Jama, wpaść w nią — niepomyślność w interesach
Jamę widzieć — niebezpieczeństwo
Jamę kopać — długi, niebezpieczne posunięcia w interesach
Jamnik — nieuczciwy przyjaciel
Jarmark — niepowodzenie, oszustwo
Jarzębina — lekkomyślność
Jarzynę jeść — pokonanie trudności
Jarzyny gotować — zmartwienie rodzinne
Jarzyny sadzić — spełnione zamiary
Jaskinię widzieć — zmiana trybu życia
Jaskinia, wejść — złe towarzystwo, którego należy unikać
Jaskółka latająca — otrzymanie dobrych wiadomości
Jaskółka siedząca — powodzenie w miłości lub innych sprawach
Jaskółka lepiąca gniazdko — dla młodych wesela, dla starszych harmonijne życie domowe, spokój
Jaskółcze gniazdo — zysk
Jasmin — gość
Jasność widzieć — dobre interesy

Dalszy ciąg nastąpi

Kultura 1974

Literatura

● Jako druk bibliofilski w Łodzi ukazał się wiersz K. I. Galczyńskiego pt. „Książka mówi do srośkanego”, oznaczony drugą nagrodą na konkursie turnieju poetyckiego w Poznaniu w 1933 r., a dotychczas zupełnie niezany.

● W pozycji tłumaczonej z literatury polskiej — Mickiewicz, Iwaszkiewicz, Dąbrowski, Andrzejewski, Zukrowski i inni — ma na swoim koncie Gerda Leber Hagenu, profesor uniwersytetu w Wiedniu. Urodziła się ona w Łodzi.

● Z okazji 175 rocznicy urodzin Aleksandra Puszkina przypomniało, że jego utwory wydano w ZSRR w nakładzie 162 mln egzemplarzy w 31 językach narodów radzieckich, a poza granicami ZSRR w 43 krajach łącznie 1600 razy.

● 75 — letni poeta słowacki, Ladislav Novomesky, otrzymał nagrodę państwową CSRS im. Klementa Gottwalda za wybór twórczości zatytułowany „Poetę”.

Teatr

● Na XV Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu pierwszą nagrodę otrzymał zespół Teatru Nowego z Poznania za spektakl „A jak królem, a jak katem będziesz” Tadeusza Nowaka. Drugą nagrodę zdobył teatr z Jeleniej Góry za „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego.

● W Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach występuje najstarszy czynny aktor w Polsce, Edmund Karasiński, który pracuje już 66 lat na scenie.

● Teatr Lubuski im. L. Kruczkowskiego wystąpił z prapremierą komedii satyrycznej miejscowego poety i pisarza Zdzisława Morawskiego pt. „Technik księstwa Donderów” w reżyserii St. Bielinskiego i scenografii I. Zaborskiej.

Sztuka

● Przemysł Górnośląski coraz częściej korzysta ze współpracy z plastykami. W roku ub. dla przemysłu pracowało około 300 artystów, wykonując prace wartości 34 milionów złotych. Obecnie plastycy pracują m.in. nad wystrojem i akcentami plastycznymi budowanej wspólnie z NRD przędzalni bawełny „Przyjaźń” w Zawierciu.

● W sierpniu i wrześniu odbędą się w Bydgoszczy plener plastyki monumentalnej. Kilku dziesięciu artystów zaprojektuje rzeźby (wraz z tzw. małą architekturą), które staną wzdłuż dziesięciokilometrowej trasy spacerowej nad Brdą.

● W Duisburgu (RFN) była eksponowana wielka wystawa polskiej plastyki współczesnej, zorganizowana przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu.

● Jak twierdzą krytycy amerykańscy, nastąpił już całkowity zmierzch pop-artu, obserwuje się natomiast powrót do ekspresyjnego abstrakcjonizmu z lat pięćdziesiątych.

Muzyka

● W 120 rocznicę śmierci kompozytora, dyrygenta i pedagoga Józefa Elsnera, człowieka, który pierwszy nazwał Chopina — swego ucznia — geniuszem, odbyły się doroczne „Dni Elsnerowskie” w Grodkowie na Opolszczyźnie. Objęły one 18 koncertów, wystawy i sesję popularnonaukową.

● W dniach 21–23 czerwca odbył się w Krynicy 6my z kolei Festiwal Arii i Pieśni im. Jana Klepury z udziałem artystów polskich i zagranicznych.

● Maryla Rodowicz nagrała longplay, na którym jest siedem nowych piosenek. Na festiwalu w Opolu wystąpi 5 razy, w tym z dwoma recitalami w ramach imprez towarzyszących.

● Pobyt cara rosyjskiego Piotra I w Holandii był już tematem siedemnastu oper. Ostatnio w Mediolanie odnaleziono nieznaną partyturę kolejnej opery na ten temat, którą skomponował Gaetano Donizetti. Jej premiera pt. „Burmistrz Zaandam” odbędzie się wkrótce w Mediolanie.

● W portugalskiej miejscowości Portu odbył się pierwszy po

wielu latach festiwal pieśni ludowych i rewolucyjnych, transmitowany przez radio do wielu krajów afrykańskich.

Film

● Na XIV Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie Grand Prix i nagrodę Ministra Kultury i Sztuki „Złoty Lajkonik” zdobył film telewizyjny Krzysztofa Kieślowskiego „Pierwsza miłość”.

● Danuta Szaflarska, aktorka teatralna, najbardziej jednak znana jako łączniczka Halinka z filmu „Zakazane piosenki”, obchodzi 25-lecie pracy artystycznej. Dwa tygodnie przed Powstaniem Warszawskim wyjechała z grupą aktorów do oddziału partyzanckiego „Zegoty” pod Lubartowem, jednak nie dojechała, gdyż w tym mieście właśnie przeprowadzono pacyfikację.

● W Taszkencie odbył się trzeci z kolei przegląd (nie konkurs) filmów krajów Azji i Afryki. Zaprezentowano 83 filmy artystyczne z 70 krajów.

● Sergiusz Bondarczuk przystąpił do ekranizacji powieści Michała Szolochowa „Oni walczyli za ojczyznę”.

● Prawdziwym bestsellerem w USA stał się film „To dopiero zabawa”, będący montażem 100 filmów, wyprodukowanych przez firmę Metro Goldwyn Mayer, która niedawno przestała istnieć — to był jej ostatni film. Ceny na premierę (czarnorynkowe) dochodziły do 500 dolarów za bilet.

● Na ekrany kin włoskich wszedł najnowszy film 73-letniego Vittorio de Sica. Krytycy nazwali film „wyciskaczem łez”, reżyser zaś powiedział: „To jest mój protest przeciw modzie na seks i gwałt. Sprawy najintymniejsze, dotyczące dwójga ludzi, wywleka się w ordynarnej formie na widok publiczny ku uciesze gawiedzi. Chciałem udowodnić, że są jeszcze inne sposoby ukazywania miłości”.

Różne

● Nagrody im. Bolesława Prusa, najwyższe wyróżnienie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, otrzymali: I stopnia — red. M. Róg-Swiostek, II stopnia — red. R. Hajduk i III stopnia — red. L. Marschak. Nagrodę młodych im. Juliana Bruna przyznano Wi-

ktorowi Osiatyńskiemu z „Kulturny”.

● Nakładem wrocławskiego Ossolineum ukazał się w tym roku pierwszy z dziesięciu tomów „Słownika Języka Praslowiańskiego”, zainicjowanego jeszcze przez prof. dr. Lebr-Splawiańskiego.

● Mazowiecki mieszczyk kulturalno-społeczny „Harwy” przyznał pierwsze nagrody im. Kolberga, przeznaczone dla twórców ludowych, badaczy i popularyzatorów sztuki ludowej.

● W Rzymie przy Via Sistina 123 na domu, w którym w latach 1847 i 1848 mieszkał Cyprian Norwid, staraniem Stacji Naukowej PAN wmurowano tablicę pamiątkową.

● Rekordowa cena — 90 tysięcy funtów szterlingów — zapłacono w Londynie za pięknie ilustrowany, XV-wieczny rękopis „Opowieści kanterberyjskich” Chaucera, twórcy powołyanej poezji angielskiej. Kupcem był księgarz nowojorski.

● Japonia podała oficjalnie do wiadomości, że przerywa wymianę kulturalną, oświatową i sportową z reżimami rasistowskimi Afryki i południowej.

● Ostatnio w Szwecji sprzedaje się książki na wagę — 33 korony kilogram. Są to książki sensacyjne, o seks-bombach, porno — które przez kilka dni były bestsellerami dzięki natrętej reklamie, ale potem nie znajdowały już nabywców.

Lubliniana

● Wśród tegorocznych laureatów nagród klubów twórczych Stow. Dziennikarzy Polskich znalazło się dwoje z Lublina; red. Anna Radczak Mańkowska ze „Sztandaru Ludu” zdobyła II nagrodę Klubu Publicystów Ekonomicznych, a nasz kolega redakcyjny red. Maciej Podgórski II nagrodę Klubu Publicystów Oświatowo-Wychowawczych. Gratulujemy!

● W tegorocznej IV Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego brało udział 5 tys. uczniów szkół średnich. Wśród 18 laureatów znalazła się również Irena Jarosz z liceum w Kraśniku Lubelskim.

noty i notki

W czasie mistrzostw piłkarskich, telewizja, chcąc, aby i wilk był syty i owca cała, pokazywała przed odtwarzaniem meczów wyniki. Red. Hopfer nie czytał tych wyników, tylko zapowiadał, że pokaże je za 10 sekund. Kto nie chce oglądać, może zamknąć oczy, wówczas przebieg meczu stanie się bardziej interesującym.

Red. Hopfer nie mógł jednak najwidoczniej wszystkiego dopilnować. Kiedy przedstawiciel TV rozmawiał po meczu Argentyna — Polska z aktorami Opery Wielkiej, chcąc znać tzw. opinie, nie omieszkał im powiedzieć, że Włochy wygrały z Haiti 3:1. I tak późniejsza ciuciubabka nie na wiele się zdała.

A jeden z komentatorów TV ciągle mówił: zawodnicy hajtańscy. Hajta wio! Batem!

Zakłady Chemicznego Czyszczenia przy ul. Narutowicza 83 w Lublinie przyjmują odzież do czyszczenia na poczekaniu. Czyszczenie takie trwa godzinę, no może dwie. Placi się, oczywiście, więcej za ów super-super-ekspres. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że trzeba jeszcze 30–60 minut stać w kolejce, aby pracownica zakładów mogła przyjąć odzież. Ale dlaczego się dziwić? W samym założeniu usługa polega na poczekaniu.

II Spartakiada Elektroprojektu odbywała się w Lublinie. Po biegniach, halach sportowych, boiskach i strzelnicach zawodnicy przenieśli się z kolejną (czy kolejkową?) konkurencją (wieczorem 14 czerwca) do restauracji „Victoria”. Byłem tam przypadkowo i z dużym zainteresowaniem obserwowałem przebieg zawodów. Organizatorzy nie poinformowali nas jednak, ile butelek alkoholu ogółem opróżnio-

no. Ale i tak coś się zmienia: wyglądało na to, że każdy płacił z własnej kieszeni. Jeśli tak było w istocie, serdecznie gratuluje.

MAJ

Ostatnio oprowadzałem po Lublinie rodaka, który po 35 latach pobytu na Tasmanii przyjechał do kraju. Szczerze podziwiał m. in. dzielnicę LSM i akademicką, park przy Al. Raclawickich, Stare Miasto. Ale irytowały go dwie sprawy: lekceważenie klientów przez większość ekspedientek oraz nie strzyżone trawniki, które przypominały mu australijski busz. Tymczasem Miejskiej Przedsiębiorstwo Zieleni zakupiło elektryczne nożyce, które w ciągu dnia mogą obciąć 20 km żywopłotu. Kłopot tylko z tym, że w całym Lublinie nie mamy nawet 15 km żywopłotów.

W podcieniach na rogu ulic Krakowskie Przedmieście i Lipowa jest kiosk PTTK — rzekomo dla turystów. Rzeczono, bo nie widziałem w nim jeszcze mapy województwa, normalnej lub samochodowej, ani jednego folderu o Roztoczu. A wśród tzw. pamiątek tylko drobna część ma cokolwiek wspólnego z Lubelszczyzną.

Przy ul. Królewskiej istnieje punkt fotograficzny, w którym po kilku godzinach można otrzymać podobiznę własnego fizys z lewym uchem, czyli fotografię do celów urzędowych. Ale właściciel za żadne pieniądze nie chce wystawiać rachunków twierdząc, że w razie wystawienia rachunku będzie musiał uiszczyć podatek w podwójnej wysokości. Pierwszy raz słyszę o czymś podobnym.

A jednak szkoda, że (mąż) nie czytuje „Kamery”. Gdyby czytał, wiedziałby, że Lublin nie posiada — podobnie jak Kraków i Toruń — starówki, ale Stare Miasto, albowiem Starówka (przez S a nie s) to wyłącznie dzielnica Warszawy. Tymczasem w „Kurierze Polskim” (nr 141) nie tylko pisał o owej „lubelskiej starówce”, ale w dodatku podał informacje znane już od dwóch lat i wielokrotnie powtarzane w całej prasie polskiej, nie tylko lubelskiej.

ekran i widz

Lekcja historii

Od pewnego czasu obserwujemy kolejny przyływ zainteresowania się przez tzw. przedletniego odbiorcę problematyką II wojny światowej. Książki na ten temat znikają błyskawicznie z półek księgarskich, filmy „wojenne” idą kompletnie. Także posiadacze telewizorów nie przepuszczają okazji, kiedy w programie zapowiedziano archiwalny film wojenny sprzed lat... trzydziestu.

U nas może proces ten nie zaznacza się tak wyraziście — problem ostatniej wojny jeszcze przez długie lata pozostanie dla ogromnej liczby Polaków sprawą wciąż aktualną, natomiast wzrost zainteresowania historią II wojny światowej uderza szczególnie na Zachodzie, w społeczeństwach, które przyzwyczaił się określać mianem konsumpcyjnych.

Byłem zupełnie zaskoczony, kiedy po dwuletniej nieobecności w Londynie stwierdziłem, że np. półki w księgarniach, na których dotąd niepodzielnie królował sex, teraz zajmują wydawnictwa wojenne. Najczęściej nie są to wnikliwie dzieła historyczne, tylko opracowania popularne albo po prostu powieści typu „przygodowego”, w rodzaju „Dziela Nawarony”, ale jest faktem, że panuje na nie ogromne zapotrzebowanie. I w końcu nie ma w tym nic dziwnego: dorosło nowe pokolenie, dla którego wprawdzie wojna jest już historią, ale jednak historią bardzo bliską, znaną z opowieści rodziców, i wiedzę na ten temat chce się możliwie szybko i możliwie bez wysiłku (to niestety, specyfika naszych czasów) — uzupełnić.

O wspomnianej wyżej konwencji zatrać w pewnym sensie film radziecki: „Dowódca łodzi podwodnej” w reżyserii Borisa Wolczka, który właśnie mamy możliwość oglądania na ekranach kin lubelskich. Realizatorzy informują w czołówce: „Film nasz dedykujemy młodzieży. Od zakończenia wojny minęło ćwierć wieku. Chłopcy, którzy rośli bez ojców, dziś sami są ojcami. Powinni wiedzieć jakie ofiary poniosł naród w walce z faszyzmem. Mówiło o tym jest naszym obowiązkiem zarówno wobec tych, których już nie ma wśród nas, jak i tych, których życie dopiero się zaczyna”.

Wojenne filmy moralki od lat cieszą się ogromną popularnością. Wspinała scenaria, niecodzienna specyfika pracy i walki na morzu, złożoność charakterów cechująca ludzi morza, daje reżyserom duże pole do popisu. Dochodzi do tego fakt, że przecież w pewnym okresie, losy II wojny światowej wazyły się właśnie na morzach i oceanach.

Przed trzydziestu laty długo nie schodził z ekranów angielski film Noëla Cowarda — „Nasz okręt”, ukazujący w sposób na wpół dokumentalny walkę brytyjskiego okrętu z niemieckimi łodziami podwodnymi w okresie słynnej bitwy o Atlantyk. Nie mniejszą popularność zyskał film amerykański — „Dzieje jednego konwoju”, nakręcony w 1943 r. przez Lloyda Bacona, opowiadający historię alianckiego konwoju wiozącego sprzęt wojenny do Murmańska. W niezwykle dramatyczny sposób przedstawiono w nim zmagania marynarzy z nieprzyjawnym żywiołem i z okrętami nieprzyjaciela czatującymi w norweskich fiordach. Doskonałe pamiętam zakończenie filmu (oglądałem go w 1947 r. w dawnym lubelskim kinie „Bałtyk”), kiedy konwój wchodził w strefę chronioną przez radziecką marynarkę wojenną, a na niebie pokazują się sylwetki radzieckich samolotów.

Po niemal trzydziestu latach, dzięki filmowi Wolczka, uzupełniłem swoją wiedzę o tym, jak wyglądały w owych czasach działania wojenne w rejonie Murmańska. Dowódca łodzi podwodnej — „Szczyt”, kapitan Strogow, jest jednym z kapitanów zespołu łodzi podwodnych broniących Niemcom wstępu do Murmańska, kluczowej bazy radzieckiej na Dalekiej Północy, a zarazem paraliżujących działalność jednostek Kriegsmarine, które napadały na alianckie konwoje. Rzecz dzieje się w roku 1942, tym samym roku, w którym rozgrywa się akcja „Historii jednego konwoju”. Wspinała, surowa scenaria, w jakiej toczy się film, pełne napięcia sceny batalistyczne rozgrywane się na powierzchni morza i pod wodą, przykłady poświęcenia radzieckich marynarzy, a wreszcie — przeskok do czasów współczesnych, kiedy na ekranie oglądamy imponujące, nowoczesne jednostki bojowe floty radzieckiej sprawiają, że film ten śledzi się z zapartym tchem.

Do najmniej udanych należy zaliczyć niektóre sceny rozgrywane się we wnętrzu okrętu podwodnego podczas ataków bombowych dokonywanych przez niemieckie niszczyciele. Gwar i głośnie rozmowy prowadzone w tym czasie przez załogę (na okrętach podwodnych powinna panować w takich wypadkach absolutna cisza) świadczą o pewnych potknięciach i natwórczościach scenarzysty. Ale mimo tych drobnych mankamentów „Dowódca łodzi podwodnej” doskonale spełnia funkcję o jaką chodziło realizatorom: jest ciekawą, poglądową lekcją historii dla młodzieży, zaś dla dorosłych — barwnym jej uzupełnieniem.

(md)

Odpowiedzi redakcji

T. B. Lublin. Mimo wszystkich stresów współczesności trudno zgodzić się ze stanowiskiem, że na świat dzisiejszy należy reagować pesymizmem, cynizmem, frustracją. Tak ton przebiega we wszystkich pańskich wierszach. Aczkolwiek poezja nie może być łatwym pocieszeniem, to jednak postawa zalamania jest czymś przeciwnym twórczości, która często — jak uczy przykłady z historii literatury — wymagała nawet heroizmu. W każdym razie psychiczna aktywność jest czymś nieodzownym we wszelkiej pracy pisarskiej.

D. R. Puławy. Pewne zyczne powiedzenia publicystyczne wmontowuje Pan w tkanke utworu poetyckiego i taki efekt uważa Pan za dodatni. Mylnie mniemanie. Poezja to nie swoiste uformowana proza. To inny sposób widzenia rzeczywistości, wymagający swoich narzędzi i środków wyrazu. Nawet tam, gdzie współczesna poezja do prozy się zbliża, ta właściwość okazuje się w sposób wyraźny. Proza to informacja o faktach, zdarzeniach, wypadkach. Poezja to osobiste wyznaczenie. Zastrzegamy się, że nie podaliśmy definicji. Podaliśmy punkt orientacji dla pańskich dalszych poszukiwań.

W. R. Stoczek Łukowski. To najczęstsze pytanie młodego autora: czy warto? czy coś z tego będzie? Aby na nie odpowiedzieć, redakcja musiałaby otrzymać etat jasnovidza, bo w tych sprawach przewidywania na podstawie realnych przesłanek bywają zawodne. Mielśmy przykłady, że autor zapowiadający się wyśmienicie nie zdobył się na oczekiwane dzieło, bywało też, że w kimś początkowo tuzinkowym nagle wybuchł poeta. Przy dylematach pisarstwa nie chcemy młodego autora zostawić samemu sobie, służymy pomocą w postaci uwag krytycznych, ale powodzenia zagwarantować nie możemy.

F. T. Lublin. Najgorsze są takie utwory, które nie wywołują nawet sprzeciwu. Bo wtedy wychodzi jak sztydło z worka cała daremność autorskiego zamiaru. Odnosi się wrażenie, że chce Pan swe utwory wyprać z wizji, wyobraźni, ekspresji. Wydaje się, że w tym Pan widzi kulturę literacką. Owszem, polega ona m.in. na tym, by nadmierne nie krzyknąć, jak dobra muzyka nie polega na wywołaniu hałasu, ale literatura to przecież nie rozmowa salonowa. To mowa o dążeniu, cierpieniu, upadaniu i dźwignaniu się człowieka. Gładkie słowo nie ma tu nic do roboty. Inna rzecz — i tu Pan ma rację — że naciskać forte, kiedy się nie ma nic do powiedzenia to jeszcze gorzej, niż mówić zdawkowo coś jednak do powiedzenia mając.

S. P. Jasio. Opowiadanie mimo wszystko jest chaotyczne. Dlaczego? Dlatego, że nie prowadzi Pan narracji według pewnej pomyślanej linii rozwojowej, ale zmienia Pan obrazy stosownie do skołażeń zachodzących w trakcie pisania. To może być przyjęte jako technika monologu wewnętrznego, ale nie „zobiektywizowanej” opowieści o ludziach. Można powiedzieć że „rozszadza” Pana nadmiar treści. Wieleś treści jest zawsze czymś pożądanym. Tylko istnieje coś takiego jak potrzeba selekcji, uformowania opisywanych wydarzeń według pewnej koncepcji. Na tym polega osiągnięcie wymowy artystycznej. Bogactwo, które jest chaosem, liczy się w literaturze, niestety, jako wartość ujemna.

B. M. Lublin. Chcielibyśmy na tych kilka nadesłanych wierszy dać jak najwłaściwszą odpowiedź, bo nie przeczyamy, że nas one uczyły. Prosimy tylko, by ujemnego określenia, jakim będziemy musieli się tu posłużyć nie przyjąć jako dyskwalifikacji: „gaworzenie liryczne”. To znaczy — niedojrzałe, niedorośle, niedokształcone, ale ujmujące szczerością mówienie o sobie i własnych prawdziwych przeżyciach. Prosimy się nie zrażać tą odpowiedzią. Prosimy pracować nad zdobyciem umiędzynarodowienia.

W. T. Tarnowskie Góry. Opisywanie jest grzechem w prozie, ale całkowicie czymś niezrozumiałym w poezji. Przecież poeta bierze pióro do ręki przede wszystkim po to, by wyrazić swój stan psychiczny. A Pan — wygląda na to — pisze wiersz, by się ukryć za nie nie znaczącymi słowami. To chyba gorzej niż wyraźne niepowodzenie. Bo z niego można wyjąć, natomiast ni jakoś jako program artystyczny...

G. A. Szczepczeszyn. Przede wszystkim uwolnić się od obrazków! Od tych łatwych, niczego czytelnikowi nie przynoszących malowanek, które swemu autorowi zdają się sprawiać tyle satysfakcji. Uwolnić się, bo inaczej każdy następny tekst stanie się jeszcze jednym literackim oleodrukiem. Przecież te wszystkie „Ichnienia wiosenne”, „Jeane zadumy” itp. to powtórka najgorszych wzorów poezji niktakiego lotu. Może dobrze będzie na pewien czas przestać pisać na rzecz lektury i refleksji?

Szyfrogram literacki (nr 13)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery, a następnie odczytać fragment wiersza o tematyce związanej z obchodami z końca czerwca. Pierwsze litery początkowych 14 wyrazów dadzą pierwszą literę imienia i nazwisko autora oraz tytuł wiersza. Pojedyncze czarne kratki oznaczają koniec słowa, a podwójne koniec wiersza.

- Wyrazy pomocnicze**
- 4, 70, 9, 91, 80 — państwo afrykańskie,
 - 29, 83, 89, 7, 10, 33 — w Ciechocinku suszy się w niej sól,
 - 8, 12, 50, 25, 19 — wielkie miasto w Zagłębiu Ruhry,
 - 39, 74, 43, 38, 53, 82, 58, 90 — gromada ludzka, motloch,
 - 21, 5, 1, 24, 16, 48 — sok wytłaczany z owoców,
 - 28, 41, 2, 32, 13, 69 — punkt widzenia,
 - 6, 40, 85, 45, 49, 15 — pora roku,
 - 20, 66, 99, 62, 96, 93 — mityczne mścicielki przelanej krwi,
 - 23, 54, 86, 17, 75, 81 — miasto powiatowe na Podlasiu,
 - 42, 22, 36, 52 — pomost w morze,
 - 3, 71, 27, 67, 79 — uparte zwierzę,
 - 20, 63, 84, 57, 83, 78, 21, 77 — surowe środki odwetu,
 - 87, 59, 34, 88, 47 — delikatny wietrzyk,
 - 11, 51, 18, 60 — wielki poemat opisujący jakieś wydarzenie,
 - 33, 92, 56, 37, 76, 44 — normański rozbójnik morski,
 - 65, 97, 68, 64, 61 — furia, silny gniew, hobby,

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
23	24	25			26	27	28	29	30	31
32		33		34	35	36	37	38	39	40
41	42	43	44	45		46	47	48	49	
50	51	52	53	54		55	56	57	58	60
61	62	63	64		65	66	67	68	69	70
71	72	73	74	75			76	77		78 79
80	81	82	83		84	85	86	87	88	89
90	91	92	93	94		95	96	97	98	99

65, 88, 46, 72 — poeta rosyjski (zm.1921) czolowy przedstawiciel symbolizmu,
26, 14, 94, 73 — dzielnica Warszawy.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z Nr 11 był fragment wiersza Cypriana Norwida „Do Nikodema Biernackiego”:
A ty skąd wzięłeś na te skrzypce deski,

Jeżeli nie z lipy bogdaj czarnoleskiej,
I smyk twój jestże czarodziejstwem żywym z białego konia arabskiego grzywy”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 11 cztery bony książkowe po 46 zł każdy wylosowali: Michalina Libucha, Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna Strzyżów n/Wielokiem, ul. Parkowa 2, Krzysztof Rosiak, Lublin, ul. Przędowników Pracy 2/18, Antonina Grula, Dęblin 2, ul. Traugutta 10, Anna Pappos, Jelenia Góra, ul. Paderewskiego 43.

listy do kamieny

KŁOPOTY Z „NURTEM“

Jestem nauczycielką, która nieszczęśliwym trafem losu ukończyła niedawno Studium Nauczycielskie w Lublinie. Teraz więc muszę uzupełniać studia wyższe, ściec nocami, odmawiać sobie zwykłych rozrywek. Trudno, cel uświęca środki (no, może nie zawsze). Słucham i oglądam również, w ramach dokształcania telewizyjny program „Nurtu”, przeznaczony, jak wiadomo, dla nauczycieli. Rzecz w tym, że brakuje mi materiałów uzupełniających program tej technicy. Podobno dodatkowa ich partia, niejako retrospektywna, miała znaleźć się w wybranych kioskach „Ruchu” w Lublinie. Informował nas o tym Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych, obiecując zarazem że powiadomi zainteresowanych gdzie i kiedy można nabyć wiadome skrypty. Niestety, nie dotrzymał obietnicy. A materiały rozszły się bez śladu. Nie jest to jedyny przypadek chaosu, który towarzyszy dokształcaniu nauczycieli. Wydaje mi się, że należałoby zająć się na serio tym problemem.

Anna Nowak
Lublin

LEON WYCZOŁKOWSKI

Leon Wyczółkowski, wybitny malarz polski, wielki realista, twórca wyjątkujący w swoim malarstwie równie doświadczenia impresjonizmu, chodził do szkoły w lubelskiej Kamionce. W miejscowości tej nadal istnieje szkoła, lecz o ile mi wiadomo nikt tam nie pamięta już o sławnym artyście. Byłoby chyba celowe upamiętnienie pobytu malarza w Kamionce — może odpowiednią tablicą.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszelkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerate na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 60-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka Zam. 1521 16 VI 74 r. E-4.

Numer łamal Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurendy.

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Nr indeksu 35-400

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

może nadaniem imienia artysty tej placówce oświatowej.

Przy okazji chciałbym także zaproponować władzom Zamościa, aby upamiętniły w jakiś sposób związki z tym miastem ciekawego grafika, Władysława Zurawskiego, zmarłego w latach sześćdziesiątych.

Adam Konieczny
Lublin

„NOTY I NOTKI“

W związku z notatką, która ukazała się dnia 15 maja 1974 r. w nr 10 „Kamieny”, dotyczącą załatwienia sprawy odszkodowania za uszkodzony samochód, zawiadamiamy, że notatka ta zawiera szereg nieścisłości.

Przed wszystkim pragniemy wyjaśnić, że dotychczas ubezpieczenia samochodów nie są obowiązkowe, lecz prowadzone przez PZU wyłącznie na zasadach dobrowolności. Autor notatki takiego ubezpieczenia nie posiada, dlatego też nie może żądać pokrycia strat wynikłych z uszkodzenia samochodu w ramach istniejącego dobrowolnego ubezpieczenia pojazdów samochodowych od uszkodzeń. Obowiązkowe ubezpieczenie komunikacyjne, które autor notatki zapewne ma na myśli, nie jest ubezpieczeniem samochodu, lecz ubezpieczeniem właściciela pojazdu od odpowiedzialności cywilnej, w ramach którego PZU przyjmuje płatność odszkodowań za straty wyrządzone osobom trzecim przez właściciela pojazdu samochodowego w wyniku najeżdżania należącego do niego pojazdem na osoby, zwierzęta, rzeczy. W razie zdarzenia się dwóch samochodów, PZU przyjmuje płatność odszkodowania za kierowcę, który został uznany winnym spowodowania wypadku na rzecz właściciela pojazdu współuczestniczącego w zdarzeniu, który jechał prawidłowo. W takim wypadku istotnym więc jest stwierdzenie, która ze stron ponosi winę za wypadek, gdyż tylko jeden kierowca może otrzymać pełny zwrot poniesionych strat. W wypadku współwiny obaj właściciele pojazdów otrzymują odszkodowanie zmniejszone o stopień przyczynienia się każdego z nich do wypadku. W tej sytuacji oczekiwania na wynik dochodzeń przeprowadzonych przez organa do tego powołane i ewentualnie na wynik rozprawy karnej jest koniecznością i dlatego zarzut biurokratycznego załatwiania nie jest słuszny, a wynika po prostu z niezajomości zagadnienia.

Wprawdzie w notatce autor nie podał swego nazwiska, zdołaliśmy jednak ustalić o jaką sprawę chodzi. W związku z

tym pragniemy wyjaśnić, że nie jest prawdą jakoby nasz Oddział Miejski w Lublinie nie zwrócił się do MO, gdyż odpowiednio pismo przesłano do Wydziału Dochodzeniowego KM MO szóstego dnia od zgłoszenia szkody, interweniując dodatkowo telefonicznie o nadeśnięcie odpowiedzi ze względu na jej brak w przewidzianym terminie.

Z ostatecznym załatwieniem sprawy musimy jednak wstrzymać się do czasu wydania orzeczenia przez Kolegium do Spraw Wykroczeń przy Urzędzie Miejskim w Lublinie. Wypłata odszkodowania na rzecz autora notatki będzie możliwa tylko wtedy, gdy winnym spowodowania wypadku zostanie uznany kierowca MPK, na co raczej nie zanosi się wobec złożenia wniosku o ukaranie nie kierowcy MPK, lecz autora notatki. Termin rozprawy przewidziany jest na 11 czerwca br.

W związku z uwagami zamieszczonymi w końcowej części notatki zawiadamiamy, że proponowane uproszczenie już dawno PZU stosuje i wcale nie potrzeba rachunku, by otrzymać pokrycie straty nawet wtedy, gdy samochód nie jest i nie będzie reperowany, czy ewentualnie jest naprawiany systemem gospodarczym, dlatego też uszczupliue uwagi autora są zupełnie chybione.

Z-ca Dyrektora
Oddziału Wojewódzkiego PZU
mgr Z. Dukowski

SPROSTOWANIE

W artykule M. Podgórskiego „Lubelskie MPK najlepsze w kraju. Na co więc narzekamy?” („Kamieny” nr 12) na str. 7 wkrał się błąd, poważnie wypaczający sens całego zdania i sugerujący niezajomość przepisów drogowych u autora. Zdanie: „sa linie ciągłe, których praktycznie nie można przekroczyć przy wyprzedzaniu, a zakazu wyprzedzania brak” powinno brzmieć: „sa linie ciągłe, których praktycznie nie można nie przekroczyć przy wyprzedzaniu, a zakazu wyprzedzania brak”. Za omyłkę przepraszamy.

OBLICZYLIŚMY już głosy nadane po odbukowaniu przez nas czterech propozycji nowych winiet tytułowych. Uderzająco przyznajemy, że głosów tych nie było zbyt wiele (miesiące stały, co — biorąc pod uwagę 23 tygodniowy nakład „Kamena” — nieco nas zasmucilo, zwłaszcza, iż zwykle otrzymujemy więcej rozważań krytycznych).

Albo nasi czytelnicy bardziej interesują się zawartością numeru niż formą graficzną tytułu (co nie powinno martwić), albo też nagrody do rozlosowania były zbyt skromne. Nie mniej słowo się rzekło, kobylka u plotu, czas na podanie rezultatów głosowania.

13 proc. uczestników ankiety wypowiedziało się za wprowadzeniem pierwszego projektu, 24 proc. — drugiego, 13 proc. — trzeciego, 3 proc. — czwartego. Pozostałe 47 proc. doszło do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli „Kamena” zachowa dotychczasową winietę. Nie jest to jednak większość zdecydowana, wydaje się nam więc, że warto dalej prowadzić poszukiwania. Jeśli nasi czytelnicy będą mieli ciekawe pomysły, prosimy do nas napisać i je przedstawić. W każdym razie obecnie winiety nie zmieniamy i pozostajemy przy dotychczasowej.

Ucieszyło nas, że niektóre listy (a właściwie przeważnie kartki pocztowe, jak prosiłiśmy) nie ograniczały się jedynie do stereotypowych słów w rodzaju: „Głosuję za winietą numer...”, ale zawierały wiele serdeczności.

Szczególnie wzruszyła nas kartka p. inż. Wincenego Stankiewicza z Lublina, który stwierdził m. in.: „W związku z propozycjami nowych winiet „Kamena” głos mój — stalego czytelnika „Kamena” od pierwszego numeru z 1933 r. — oddaję na winietę nr. 5, obecnie aktualną. (...) Nadmieniam, że w roku 1933 przypadkowo byłem obecny w Chełmie w drukarni „Zwierzędzio”, należącej do mojego przyjaciela K. Czernieckiego, w chwili, gdy wiele przede mną szanowany KAJ — składał pierwsze egzemplarze drugiego numeru „Kamena” i był niezadowolony zarówno z proponowanej wówczas winiety, jak i z technicznego wykonania druku numeru...”

A oto fragment listu p. Urszuli Wroblewskiej z Chełma: „Wszystkie propozycje, opracowane przez Andrzeja Bareckiego, są godne uwagi. Sądząc jednak, że winieta aktualna jest najlepsza. Może po prostu dlatego, że rzuca się od razu w oczy, tym bardziej, że za każdym razem drukowana jest w innym kolorze. Pewnego razu „zapalał się” na tym. Przechodziłam

łoby znaleźć coś bardziej „kamienowego” i tylko „kamienowego”. Na razie zatrzymajcie tytuł pisma w obecnej formie graficznej. Ostatecznie treść świadczy o zawartości Waszego, a właściwie naszego dwutygodnika, a nie takie czy inne ujęcie tytułu. Niech się Wam, Kochani Redaktorzy, w głowach nie porządkuje, ale muszą się przyznać, że coraz bardziej lubię i cenię

Zostajemy przy starej...

koło kiosku „Ruchu” i chyba przez dwa dni nie zauważyłam, że ukazał się nowy numer „Kamena”, a ona leżała odwrotną stroną z nową propozycją winiety”.

P. Jacek Goliński z Puław zaś pisze: „Pomysł uatrakcyjnienia strony tytułowej pisma poprzez zmianę winiety, niestety, nie przyniósł oczekiwanych wyników. Pan Andrzej Barecki nie wrócił w swoich propozycjach niczego nowatorskiego: przedstawione daleko odbiegają atrakcyjnością od starej wypróbowanej formy tytułu. Należałoby więc pozostawić aktualną winietę, a panu Bareckiemu nadal pozwolić eksperymentować. W każdym razie „Kamena” jest interesującym pismem i ciągłe zmiany koloru wystarczą, aby winieta była nadal atrakcyjna”.

Natomiast p. Zygmunt Banach z Kielc stwierdza: „To, co zaprezentował p. Barecki jest godne uwagi, aczkolwiek żadna z jego propozycji nie jest tym, co chciałbym widzieć. Projekt drugi byłby na przykład znakomity, gdyby nie przypominał winiety „Kierunków”. Z kolei projekt pierwszy przypomina winietę „Kultury i ty”. Należa-

by znaleźć coś bardziej „kamienowego” i tylko „kamienowego”. Na razie zatrzymajcie tytuł pisma w obecnej formie graficznej. Ostatecznie treść świadczy o zawartości Waszego, a właściwie naszego dwutygodnika, a nie takie czy inne ujęcie tytułu. Niech się Wam, Kochani Redaktorzy, w głowach nie porządkuje, ale muszą się przyznać, że coraz bardziej lubię i cenię

„Kamena”, która szuka atrakcyjnych tematów. Dlatego też daruję Wam „Sennik egipski” i „Smak miłości”, które to pozycje wspólnie traktujemy z przymrużeniem oka”.

Cieszy nas, że p. Banach również przymruża oko, gdyż grunt to wzajemne zrozumienie!

Nagrody (dwa bony towarowe po 500 zł) rozlosujemy w najbliższych dniach i o wynikach poinformujemy w następnym numerze. A w związku z sezonem urlopowym chcielibyśmy — życząc wszystkim naszym czytelnikom dobrego i miłego wypoczynku — prosić o widokówki i własne zdjęcia z miejscowości letniskowych, z wycieczek, zarówno krajowych jak i zagranicznych. Najładniejsze widokówki i zdjęcia będziemy reprodukcować na łamach pisma. Chętnie wzięlibyśmy też krótki, dowcipny tekst na odwrocie, mówiący o Waszych przygodach, perypetiach, odkryciach etc. W danym wypadku wolelibyśmy jednak prozę niż wiersze. Honoraria płacimy!

Nie mówimy: do zobaczenia, gdyż sądzimy, że i w czasie urlopu znajdziecie w kiosku „Kamena”. Tacy już z nas optymiści...

kamena

1 — 13 proc.

KAMENA

2 — 24 proc.

KAMENA

3 — 13 proc.

KAMENA

4 — 3 proc.

kamena

5 — 47 proc.

minuta myślenia

Stuk-stuk Kto to?

CHCIALBYM jak J. Morris, ale tylko na czas pisania tego felietonu, stać się kobietą. Może wtedy zdobyłbym się na argumenty dla kobiet przekonujące. Bo na ogół panie, kiedy się im coś mówi, jest się mężczyzną, a w dodatku ma się rację, chętnie posługują się gotową formułką: „Mężczyźni się na tym nie znają”. Więc przynajmniej nie znalazłbym się jako kobieta.

A na czym? Na modzie. Na dzisiejszej damskiej modzie. Pytanie: jaka jest ona? Odpowiedź: okropna. Daje słowo, że szukalem wśród określeń najładniejszych.

Dajmy na to, że w domu jakiejś pani wybuchł pożar podczas jej pobytu w łazience. Naturalnie musiałaby salwować się ucieczką. Na szczęście

zdążyłaby jeszcze zerwać jakąś kołarę z drzwi, by się przynajmniej owinąć. Jak by wyglądała? Tak właśnie. Jak dziś normalnie wygląda kobieta na ulicy. To znaczy jak legendarna pływaczka bagienna, pośpiega, dziewczę moru niosąca zagładę na Litwie. Ładnie, prawda?

Boże drogi, przecież to mężczyzna jest ten z natury nieelegancki, nieestetyczny, nie dbający o wygląd zewnętrzny, a kobieta to ta skrzętna pszczołka estetyki na co dzień, każdy element stroju kontrolująca przede wszystkim pod kątem jego walorów zewnętrznych. I co? I z takiego egzaminu ta przydługa, chaotycznie falująca, przekreślona ukośną kolorową krechą spódnica wychodzi zwycięsko? Chapeau bas.

Albo drewniak. Pamiętam czas, kiedy w drewnie rzeczywiście się chodziło, ale był to czas sprzed trzydziestolecia, czas okupacji, nędzy, głodu, kiedy się nie miało ubrania, kiedy przede wszystkim szło o zachowanie życia. Co te czinipaki znaczą dziś, kiedy chemia ogłasza triumfalny pochód tworzywa sztucznego przez wszystkie zapotrzebowania odzieżowe i obuwnicze? Trudno zgadnąć. Kontestacja? Protest przeciw normom obyczajowym? W dodatku — niewygodne.

I jaka strona psychologiczna? Kobieta lubi się pokazać. Więc pokazaniem się, podkreśleniem indywidualności jest ten owczy ped w stronę szpetoty, kto wie czy nie zaaranżowany przez barana, który w ten sposób chciał ocalić swe umysłowe kwalifikacje? Daje słowo — ocali! Tyle istot płci żeńskiej nabrąć w ich własnej domenie. Tu też chapeau bas.

Moda jako okresowy zgodny gust danej zbiorowości — zgoda. Ale co ma

wspólnego z modą naśladowanie śmieśnie wyglądającej brzydoty, niezręcznie nawiązującej do manieri a la bergeresse, nie mającej tu i teraz żadnego uzasadnienia? Żeby nie zostać w tyle? Na szarym koncu? Ale właśnie szarość rozpościera się teraz po stronie owej „odzieżowej awangardy”. skoro tak leźnie jest praktykowana przez coraz większe zastępy bezkrytycznych kilkunastoletek. Gdzieś powiało obwisłym tekstyliem, gdzieś zagdała drewnem o chodnik — dalejże, bezkrytyczny kilkunastoletek odkrywa drogę do własnej osobowości. Tak samo falować i tak samo trzeszczeć. W rezultacie idąc ulicą nie widzę młodych kobiet. Widzę ruchome manekiny tekstylnego wzornictwa.

Młoda kobieta jest świetnie przekonana, że wchodząc na tym klekocie do kawiarni, do PKO, do sklepu garmateryjnego, wzbudza powszechnie zainteresowanie mężczyzn mające zaowocować miłym „patrzcie, jaka nowocześnie”, i w ślad za tym powinno pójść jeszcze jedno spojrzenie. Tymczasem, gdyby przeprowadzić anonimową ankietę, wyszłoby na jaw, że owo „poronujące” wrażenie dalo by się zamknąć w całkiem konwencjonalnym: „No tak, jeszcze jedna geś”. Oto epitet, na który dziewczyna tak cierpliwie zarabia poszukiwaniem „oryginalności”.

Powiecie — nieważna sprawa. Rzeczywiście, może lubelaki bruk od tych drewniaków nadmierne nie popeka. Ale chrońmy lasy, drewna szkoda! Chyba, że w przyszłym sezonie zostanie to użyte jako wisioriki na szyi, albo kołczyki.

Ijon

Jerzy Leszczyński

Fraszki

NIEZGODNOŚĆ CHARAKTERÓW

Wysłał klon do sosny
piękny liść miłosny,
a sosna mu szpilę —
i tyle.

SPOSTRZEGAWCZOŚĆ

Zauważyła żona:
— Ty masz głowę, mój drogi! —
dopiero gdy mężowi
przyprawiła rogi.

NAMIASKKA

Rutę sieją dziewczyny,
co nie mają r u t y n y.

MARTINA WSZYTKOWA

SMAK MIŁOŚCI I KEZ

A jednak Mariusz, jak autorytatywnie stwierdził, kocha Basię, a nie Zuzię. Ta ostatnia domyśla się tego, ale może ma jeszcze nadzieję? Tymczasem Mariusz zaprasza Zuzię na poważną rozmowę. Dochodzi do krótkiej wymiany słów, którą nagle przerywa telefon. Naśza powieść, drukowana w autonomicznej rubryce „Poście Restante” gwoli pokrzepienia lub wzburzenia serc mało, średnio i dużej liczby ma już odcinek z mickiewiczowską liczbą:

— Mariuszu — tkala Nina — umarł ksiądz Mariuszu!
— Kiedy?
— Dzisiaj rano. A już czuł się lepiej. Taka jestem przejęta...

Stali nad grobem w deszczowy dzień. Zegnali tego, który w młodości tak bardzo ukochał ich matkę. Nina i Mariusz wiedzieli, że stracili bardzo bliskiego człowieka. Poczuli się samotni, trudno im było ukryć żal.

Po pogrzebie poprosił ich do siebie młody wikary. Ksiądz Mariusz — powiedział — dał mi na przechowanie swą ostatnią wolę.

— Dlaczego ksiądz nam o tym mówi? — zapytała Nina.
— Ponieważ prosił mnie, abym tę zalakowaną kopertę otworzył w obecności państwa.

Poczuli się skrepowani. Testament był bardzo krótki. Ksiądz Mariusz cały swój majątek zapisał po równej części Ninie i Mariuszowi. W sumie 300 tysięcy złotych.

Młody wikary miał minę markotną i nie umiał wcale ukryć swego niezadowolnienia.

— Ja wiedziałem, że państwo są bardzo bliscy sercu księdza Mariusza, ale myślałem, że te pieniądze przejdą na kościół. Trzeba jednak uszanować wolę zmarłego.

— Ale skąd ksiądz Mariusz miał taki majątek? — Nina nie mogła uwierzyć w niespodziewany spadek.

— Uzbierało się, uzbierało... Ksiądz Mariusz nie pił, nie palił, nawet za dobrym jedzeniem nie przepadał. To był wspaniały człowiek. Święty człowiek, chociaż o naszym kościele zupełnie zapominał...

W drugiej zalakowanej kopercie były dwie księgi: PKO na hasło. Sprawa jednak okazała się nieco skomplikowana, gdyż hasła z kolei znał inny ksiądz, mieszkający stale w Słupsku. Tak przynajmniej pisał ksiądz Mariusz w swej ostatniej woli, podając dokładny adres tego księdza.

— Dlaczego tak zrobił? Panie święt nad jego duszą! — dźwięł się wikary. — Czyżby mi nie ufał? Nie, tego nie spodziewałem się po księdzu Mariuszu. Będziecie musieli państwo pojechać do Słupska. Nie ma rady. Przecież tego nie można zatutudzić korespondencyjnie. A nie daj Boże jeśli nie znajdziecie tam nikogo! Nieznane są wyroki Opatrzności. Bardzo proszę mnie zawiadomić, jak to się wszystko ułoży. 300 tysięcy złotych... To bardzo duża suma...

Gdy wrócili autobusem, trudno im było skupić myśl. Mariusz wiedział tylko jedno: będzie mógł teraz uregulować swoje zobowiązania wobec siostry. Już teraz, nie czekając, aż matka Basti odda cały dług, i z tego cieszył się najbardziej. Czuł, że wielki kamień spadł mu z serca. Tyle pieniędzy! Nigdy tu życia nie przypuszczał, że ksiądz Mariusz tak będzie o nich pamiętał, choć zdawał sobie sprawę, że ich matkę kochał gorąco...

— Nino, a co z twoim małżeństwem? — zapytał.

— Teraz? Ksiądz był dla nas taki bliski. Powinna nas obowiązywać przynajmniej półroczna żałoba. A co? Może ty masz zamiar zmienić stan cywilny?

— Na razie nie. Za dużo kandydatek — doruczył żartobliwie.

— Wiem tylko o dwóch: Basti i Zuzi. Jeśli mam być szczerą, wolałabym tę drugą, ale najchętniej to tę trzecią, której ani ty ani ja jeszcze nie znamy. Nie śpiesz się, Mariuszu, z małżeństwem. Zawsze zdązysz.

— Ty, kochana, to mówisz? Przecież swój ślub był tuż, tuż i gdyby nie choroba, gdyby nie śmierć księdza Mariusza...

— Przestań. Nie mówmy teraz o tym. — Lzy zaszkliły jej oczy.

Do rozmowy, tej rozmowy zasadniczej, z Zuzanną doszło już następnego dnia. Ale jej przebieg był zupełnie niespodziewany. Gdy przez dłuższą chwilę zostali sami w pokoju biurowym, Zuzanna oświadczyła:

— Mam wiadomość, która na pewno ciebie ucieszy. Już nie musisz mieć żadnych akraputów i w niczym się kłopotować.

Słuchał uważnie.

— Nie jestem w ciąży.

— Jak to? — Nie trudno było w jego pytaniu nie dostrzec radości. — Przecież mówiłaś co innego. Kłamalas?

— Nie będę cię przekonywać, bo i tak mi nie uwierzasz. W każdym razie ani wtedy, ani teraz nie kłamię.

— Usunęłaś? Jesteś dzisiaj bardzo blada.

— Zauważyłaś? No, no... To wszystko jednak mało ważne. Jesteś zadowolony? Teraz, jak widać, ty nieco poszarpales. Nie martw się. Do żadnego lekarza nie chodziłam. Więcej mnie o nic nie pytaj, bo i tak się nie znasz na babskich sprawach. A po drugie przekonałam się, taki jesteś naprawdę. Do miłości nikogo zmusić nie można. Ale ja mam trochę ambicji. Od pierwszego zmieniam pracę. Przerzucam się wiodąc i znąc. Jest taka jedna pani, która się bardzo z tego ucieszy. Ty chyba też

(cda)